



NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1,20 zł - 8 stron

Warszawa, 10 stycznia 1954 r.

Nr 2 (198) Rok V

STANISŁAW RYSZARD DOBROWOLSKI

Najzaszczytniejsze wyróżnienie



Swiat dzisiejszy, dramatyczny nie rozdarty w walce o swoje jutro, z woli setek milionów prostych ludzi wydzwignął wysoko ideę pokoju i braterstwa między narodami, skupiając wokół tej idei nieprzeliczone rzesze na wszystkich kontynentach. Sprawa obrony pokoju i utrwalenia go w świecie porwała umysły najsłabszych jednostek pośród ludzkości dzisiejszej, a imię obrońcy pokoju stało się w świadomości powszechnej najdumniejszym imieniem naszej wielkiej epoki.

Praca dla pokoju, walka o umocnienie pokoju, są dla wielu już dzisiaj narodową przewodnią gwiazdą ich zbiorowej działalności, dla wielu, wielu jednostek — głównym, przejawiającym wszystko, co czynią, sensownym i celowym.

Nasz naród tak cieżko doświadczony w latach minionej wojny, z faszystowskim najazdem, z takim wręcz nadludzkim trudem, z takim porwującym, płomiennym zapalem budujący dzisiaj podstawy swojego jutrzejszego szczęścia, nie może nie ostatnie miejsce w szeregu walczących o pokój. Z uświadomioną dumą wspominamy, że dziś, nowoczesny ruch w obronie pokoju, zanim w toku ostatnich lat rozszerzył się do rozmiarów najpotężniejszego ruchu ideowego, jaki znała dzieje, nosił u kolebki swoich narodzin popularną nazwę: ruchu wrocławskiego, że to właśnie tu, na ziemi śląskiej, w jego prastarej stolicy Wrocławiu odbył się pierwszy po ostatniej imperialistycznej wojnie międzynarodowy Kongres Intelektualistów w obronie pokoju i kultury, który położył fundamenty pod organizację światowego ruchu obrońców pokoju.

Pamiętamy o tym wszystkim i nie zapomniemy ani na chwilę, jak to nakłada na nas obowiązek. Nie ma tu potrzeby, jak sądzić, szerzej rozwodzić się nad tym, że nasz od pierwszych dni wyzwolenia zdecydowanie stanął po stronie obozu pokoju, któremu przetrwał w świecie Związek Radziecki, nie ustając w pracy nad ugruntowaniem pokojowych stosunków z innymi narodami, jak najostrzej przeciwstawiając się wszelkim zakusom zmierzającym do rozpalenia nowej pożogi wojennej.

Mamy prawo do słusznej dumy z naszego wkładu w wielkie dzieło utrwalenia pokoju w świecie. Mamy prawo być dumni z tego, iż spośród nas wyrósł wielki wybitny bohater o pokój, nieustraszonego jego obrońcę. Ich szlachetna, humanistyczna postawa nacechowana miłością do człowieka, ich ofiarna działalność są najdoskonalszym wyrazem myśli i uczuć nas wszystkich. Toteż otacza ich miłość i szacunek całego naszego narodu. Ich pięknym wysiłkiem towarzyszy zbiorowy wysiłek całego narodu.

Nie dziw tedy, że szczególną radością i dumą napeliła serca całego naszego narodu wiadomość o przyznaniu międzynarodowej nagrody stalinowskiej „Za utrwalenie pokoju między narodami” przedstawicieli polskiego ruchu w obronie pokoju, jednemu z najczynniejszych, najwybitniejszych działaczy tego ruchu, Leonowi Kruczkowskiemu.

Nagroda ta, uświęcona imieniem wielkiego chorążego pokoju w świecie, Józefa Stalina, w przeświadczeniu setek milionów ludzi na całej kuli ziemskiej, w powszechnym przeświadczeniu całej cywilizowanej ludzkości jest najwyższym ze wszyst-

kich istniejących dzisiaj wyróżnień. I nie może być inaczej, gdy w powszechnym przekonaniu wszystkich prostych ludzi na świecie sprawa pokoju jest dla dzisiejszej ludzkości sprawą największego znaczenia.

Toteż przyznanie jej przedstawicieli polskiego ruchu w obronie pokoju cały nasz naród uznał za najzaszczytniejsze wyróżnienie go, za szczególnie mu drogie uznanie jego trudu dla wielkiej sprawy braterstwa narodów. Jesteśmy dumni, że w oczach całego świata postawiliśmy zapisane przez to obok najbardziej zasłużonych dla sprawy pokoju narodów a imię reprezentanta najgorętszych naszych uczuć i myśli zapisane zostało obok imion najsłabszych synów dzisiejszej ludzkości toczących bohaterką walkę o jutro świata, o szczęście przyszłości.

Imię Leona Kruczkowskiego, które od dzisiaj będzie jeszcze droższe naszemu narodowi, nie było mu dotąd i nie jest mu, nie może być mało znane.

Znakomity pisarz i wybitny działacz społeczny ma on już za sobą wiele pięknych kart swojej wielostronnej pracy i próba jakiegś zwiększenia charakterystyki tej jego różnorodnej działalności nie należy do zadań najłatwiejszych.

Powieściopisarz i dramaturg, publicysta i działacz w dziedzinie organizacji życia kulturalnego, bojownik o sprawę socjalizmu wyrósł Leon Kruczkowski z tych najlepszych tradycji naszej kultury narodowej, naszego narodowego piśmiennictwa, które rolę pisarza określały jako obowiązek służby społecznej, pracy dla narodu i ludzkości.

Jest rzeczą zbytnią wskazywać tu dokładnie na żywe źródła tych tradycji. Są one powszechnie znane. Warto co najwyżej wspomnieć dość widoczny wpływ, jaki miał na pojmanie przez Kruczkowskiego zadań pisarza znakomity twórca „Ludzi bezdomnych”. Nie znaczy to, aby Kruczkowski w jakimkolwiek sensie był naśladowcą Żeromskiego. Chodzi tu jedynie o przejęcie pewnych najogólniejszych ideowych postaw Żeromskiego, decydujących o postępowym charakterze twórczości obu pisarzy.

Rozstrzygające znaczenie dla drogi rozwojowej pisarstwa Kruczkowskiego miało przejęcie się pisarza już w wstępie tej drogi ideami socjalizmu, przyjęcie za podstawę myślenia dialektyki marksistowskiej.

Żył w pierwszym swoim dziele powieściopisarstwu sięga Kruczkowski do jednego z centralnych problemów naszego życia narodowego i społecznego — do sprawy chłopstwa w historycznej perspektywie walki o narodowe wyzwolenie Polaków. Marksistowska próba rozstrzygnięcia przyczyn klęski powstania listopadowego przeprowadzona przez młodego pisarza w „Kordianie i chame” przynosi mu poważny sukces — lew — artystyczny. Wokół „Kordiana i chame”, którego „rewizjonizm” budzi ostre sprzeciw reakcyjnej krytyki, rozwija się buźliwa dyskusja. Kruczkowski wstępnym bojem zdobywa sobie pozycję w polskim życiu literackim i międzywojennego dwudziestolecia. Następnie jego powieści — „Pawie pióra” i „Sidla” utrwalają jego pozycję postępowego pisarza-realisty. Książki Kruczkowskiego zdobywają mi przedko bardzo liczne koła czytelników w środowisku robotników i chłopów.

W „Pawich piórach” wraca pisarz do trapiącej go problematyki chłopskiej, dając w swojej nowej

książce wnikliwą analizę obrazu życia wsi galicyjskiej w przededniu wybuchu pierwszej wojny imperialistycznej. „Sidla” — to analiza jętrzącej sprawy życia bezrobotnego inteligenta, rozpatrywana na szerokim tle stosunków w sanacyjnej Polsce.

W powieściach swoich Kruczkowski ujawnia ogromną dojrzałość pisarskiego rzemiosła, co tu jednak zasługuje na szczególne podkreślenie — jako pisarz-realista nie ogranicza się wyłącznie do trafnej analizy, nie poprzestaje na ukazywanie klasowych przeciwieństw nierzeczywistych we wnętrzu życia narodu. Pisarz-socjalista odśladnia przed oczyma czytelników perspektywę rozwoju tego życia, rewolucyjne konsekwencje kryjących się w nim sprzeczności.

Ten charakter metody pisarskiej autora „Pawich piór” — i to chyba najważniejsze — stawia Kruczkowskiego w szczytnym gronie polskich pisarzy-rewolucjonistów międzywojennego dwudziestolecia, zakładających fundamenty pod przyszłą naszą literaturę socjalistycznego realizmu.

Zgodnie z przyjętą przez siebie postawą pisarza-bojownika o nowy kształt życia zbiorowego, o socjalizm, Leon Kruczkowski nie ogranicza swojej działalności do pracy powieściopiskarskiej. Piórem publicysty, w bezpośredniej robocie organizacyjnej w dziedzinie życia kulturalnego i politycznego podejmuje twardą walkę z narastającą w Polsce Becków i Składowskich grozą faszyzmu i wojny.

Autor „Kordiana i chame” wiąże się najściślej z polską lewicą literacką, odgrywa w jej pracach jedną z czołowych ról, w poprzeczających drugą wojnę światową latach działań kierowanych przez komunistów polskich Frontu Ludowego słowem i czynem wspólnie z innymi postępowymi pisarzami polskimi usiłując zagrozić „faszyzmowi i wojnie, nadciągającym z przerażającą szybkością klęskę narodową.”

We wrześniu 1939 roku Leon Kruczkowski, pisarz i działacz antyfaszystowski, bierze bezpośredni udział w obronie Polski. Znajduje

gorzką sposobność zaznajomienia się z bliską z grozą nowoczesnej wojny. Po klęsce wrześniowej jako oficer rezerwy dostaje się do hitlerowskiego obozu jeńców. Przez więcej niż pięć długich lat spędzonych za drutami obozu ma czas przemyśleć teraz do reszty wszystkie dręczące go dotąd problemy współczesnego życia. Sprawa wojny i pokoju ze zrozumięciem i głębią nie mogła tu się znaleźć na ostatnim miejscu.

Po wyzwoleniu już w pierwszych tygodniach 1945 roku Kruczkowski wraca do kraju i z całą pasją rzuca się w gwałtowny wir rewolucyjnego życia nowej Polski, czynnie uczestniczy w budownictwie Ludowej Rzeczypospolitej.

Już na froncie, zaraz po opuszczeniu obozu chwyta za pióro, aby nim służyć prasie frontowej Ludowego Wojska, nie wypuszcza go z ręki w pierwszym dniu pobytu w wyzwolonej Stolicy. Toczy się jeszcze walka z hitlerowskim faszyzmem. Chce służyć tej walce.

I odłód nie ustaje w działaniu. Uczestniczy w odbudowie i organizacji życia kulturalnego wyzwolonego narodu jako wiceminister kultury i sztuki. Jest posłem do Krajowej Rady Narodowej i Sejmu Ustawodawczego. Od czasu do czasu sięga za pióro wytrawnego publicysty, umiającego logicznością wywodu i siłą przekonania oddziaływać skutecznie na umysł czytelników.

Po pierwszym, burzliwym okresie życia Ludowej Rzeczypospolitej Leon Kruczkowski wraca do pracy pisarza-artysty. Dawnym i nowym czytelnikom swoich powieści przedstawia się tym razem jako dramaturg.

Zainteresowania Kruczkowskiego pisarstwem teatralnym dla od dawna go znających nie były nowością. Próbował w nim swoich sił jeszcze w latach przedwojennych. Obok scenicznej adaptacji „Kordiana i chame” był autorem innego, oryginalnego utworu przeznaczonego dla teatru. Warto przy tej okazji podkreślić, że był to utwór poświęcony tematyce i problematyce... niemieckiej.

Teraz powstają „Odwety” — rzecz poświęcona sprawom akowskiego podziemia w Polsce Ludowej.

Nas tu jednak interesuje w tej chwili bardziej druga z kolei praca Kruczkowskiego dla teatru — napisany w przededniu powstania Niemieckiej Republiki Demokratycznej dramat „Niemy”. Jego charakter wiąże się najściślej i najbardziej bezpośrednio z problematyką pokoju w dzisiejszym świecie i z osobistą rolą Leona Kruczkowskiego w światowym ruchu obrońców pokoju.

Knowania amerykańskich imperialistów i ich wasalów dążących po zakończonych wojnie do trzeciej „światówki”, grożącej ludzkości ostateczną zagładą, obudziły czujność narodów. Oczy świata z niepokojem zwróciły się w stronę odradzającego się w zachodnich Niemczech hitlerizmu.

Jesienią 1948 roku zwołany do Wrocławia międzynarodowy Kongres Intelektualistów zainicjował zorganizowany ruch obrońców pokoju.

W niewiele więcej niż w rok potem Leon Kruczkowski przystępuje do prawie jednoczesnego wystawienia w Berlinie i w Warszawie dramatu „Niemy”.

Dramatem tym, w którym odśladnia obraz aktualnej sytuacji politycznej w Niemczech, Kruczkowski inicjuje niejako nowe, przyjazne stosunki między dwoma dotychczas skłóconymi narodami, skutecznie wspiera tę niezwykle rewolucję w stosunkach polsko - niemieckich, jaką było zawarcie układu o przyjaźni między Rzeczpospolitą i NRD.

Autor „Niemy” zdobywa sobie w NRD zaszczytny tytuł „ambasadora przyjaźni narodów”, dramat obiega wiele scen niemieckich i polskich, podbijając serca i umysły dla sprawy braterstwa narodów, zdobywa sobie światową popularność — grają go w krajach demokratycznych i na Zachodzie, w Wielkiej Brytanii i w Japonii.

Sam autor „Niemy”, których tymczasem adaptują w NRD dla filmu, nie poprzestaje na pracy pisarskiej, bierze coraz czynniejszy udział w bezpośredniej działalności

na rzecz pokoju, publicystycznej i organizacyjnej, jako członek prezydium Polskiego Komitetu Obrońców Pokoju uczestniczy we wszystkich poczynaniach Światowej Rady Pokoju, zostaje zaszczytnie wybrany w poczet jej członków, bierze udział we wszystkich międzynarodowych kongresach i konferencjach obrońców pokoju, podróżuje do Stolic Zjednoczonych, przebiega stolicę Europy, zabiera głos na rozlicznych wiecach, zjazdach i obradach — służy sprawie pokoju wszystkim dostępnymi sobie środkami.

W tym roku Kruczkowski porusza do głębi tragiczną sprawą małżeństwa Juliusza i Ethel Rosenbergów napisał dramat, swoim ostrym ideologicznym wymierzony przeciwko imperialistycznym zbrodniarzom, tym samym, którzy wczoraj jeszcze dopuszczali się masowych mordów na ludności Korei, jutro zaś gotowi byłiby, gdyby nie obywatelska odwaga, do zjednoczonych w obronie pokoju narodów, utopić ludzkość w potopie krwi.

Nie znamy jeszcze w całości nowego dzieła Leona Kruczkowskiego, mamy jednak pełne prawo już sądzić, że i ono będzie miało, jak i jego poprzednie utwory, niemałe znaczenie dla sprawy odwrócenia od świata największego dła naszego świata, jakim jest wojna.

Jesteśmy mu za nie serdecznie wdzięczni tak, jak jesteśmy wdzięczni mu za wszystko, co uczynił dotąd dla szczęścia i wielkości narodu i powszechnego braterstwa ludów, dla pożytku polskiej kultury i pożytku całej cywilizowanej ludzkości.

Naród polski przyznając Leonowi Kruczkowskiemu Stalinską Nagrodę „Za utrwalenie pokoju między narodami” przyjmuje jako najzaszczytniejsze wyróżnienie, zobowiązując nas wszystkich do jeszcze bardziej upartego wysiłku, do jeszcze bardziej ofiarnej pracy na rzecz przetrwania i rozkwitu naszego świata, na rzecz przetrwania i rozkwitu naszego świata, na rzecz przetrwania i rozkwitu naszego świata.

St. R. Dobrowolski

Pamięci Juliana Tuwima

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

Ze wspomnień

Trudno jest roztawać się z człowiekiem, zegnając przyjaciela, przestawiać o nim myśleć jak o kimś, kogo się codziennie może spotkać — i o którym już trzeba mieć sąd ostatecznie ustalony. Dziwnie widzieć, jak człowiek, znany od lat ze wszystkimi swoimi zaletami i wadami, o którym nieraz mawiano się dość lekko, przestawia się w postaci historycznej, w nazwisku z podręczników literatury, w osobę połączoną z przerażającą szybkością klęskę narodową.

Dlatego nie będę w tym wspomnieniu pisał o Tuwimie poecie, ino o lepiej ode mnie zrobili już i nieraz jeszcze zrobią. Określą oni dokładnie to, co uczynił Tuwim — jak to powiedział już po pierwszych zbiorach jego wierszy w wspomnianym dziś studium Wilam Horzyca — „aby poezja nie była zabawą w rymy, ale prawdą miliona i chlebem codziennym ich wyobraźni”. Chciałbym napisać o nim jako o człowieku, niezwykłym, fascynującym, trochę dziwnym — umiającym strzec w sobie wśród naszej codzienności tę namiętność patosu, która była jego poetyckim żywiołem.

Będą to oczywiście tylko drobne ułamki, szkielek rozbitego lustra. Po ludzku żałosne resztki trzydziestoletniego życia, przyjaźni i tyluż lat rzadkiej, ale nieustającej korespondencji.

II

Nasze wielkie przyjaźnie zaczynają się nie wiadomo kiedy, nieczęsto możemy określić dzień lub datę spotkania z najbliższymi!

Śczęśliwym przypadkiem mogę z największą dokładnością określić dzień, w którym poznałem Tuwima. Było to dnia 29 listopada 1918 roku, w dzień otwarcia kawiarni „Pod Picadorem”. Tego ranka zostałem wezwany przez znajomych do lokalu położonego przy Nowym Świecie pod numerem 57. Powiedziano mi, że są tam już Tuwim i Słomkowski i że mają oni do mnie bardzo ważny interes. Wyrwałem się więc tego ranka z artystycznego domu, gdzie pełniłem funkcję nauczyciela, i pośpieszyłem pod wskazany adres. Okna kawiarni były zamalowane wapnem, wewnątrz panował nieład i nieporządek, a dwóch krzykliwych malarzy (byli to Słomkowski i Witkowski) w szybkim tempie pacykowało świeżo otynkowane ściany, malując portrety słynnego „picadorskiego”, mecenasa Kuśmierzewicza, który stał się symbolem „strasznej mieszczaństwa” dla nas wszystkich.

Organizator kawiarni „Pod Picadorem”, Tadeusz Raabe, usiłował mi wytłumaczyć o co chodzi — mieliśmy od dzisiejszego wieczora codziennie w tej kawiarni czytać nasze wiersze dla publiczności... Bardzo mi się to wydało dziwne, ale jednocześnie bardzo pociągające.

W trakcie tej rozmowy podszedł do mnie bardzo uprzejmy młody człowiek, wysoki, przystojny, chociaż miał dużą czarną plamę w kształcie myszki na twarzy i podając mi rękę powiedział:

— „Nazywam się Tuwim. Jak mi miło, że pana poznaję. Pan ma takie śliczne imię: Jarosław! Światłowski! Jarosław Światłowski! Światłowski Jarosław!”

W tym młodym człowieku było coś niezwykłego. Jego patetyczna serdeczność, blask jego oczu, pewność siebie, a jednocześnie niewzruszenie wzięcie działało niezwykle. Nazwisko Tuwima nie było mi obce. Chociaż przed paroma tygodniami zaledwie przyjechałem do Warszawy z Kijowa, jednak już latem tego roku sygnalizował mi z Warszawy mój przyjaciel Rytard pojawienie się niezwykłego zbiorku „Czyhanie na Boga” i przepisał dla

mnie parę wierszy Tuwima, między innymi oświadczył „Wiosnę”. Po przednim roku odkryliśmy z Rytardem Rimbauda — i „Wiosna” (a także cały hałas, jaki się naokoło tego wiersza uczynił) działały na nas fascynująco nawiązując poniekąd do kultu francuskiego poety. Trzeba wziąć pod uwagę, że „Czyhanie na Boga” ukazywało się w kompletnej pustce poetyckiej. I to nie tylko dlatego, że w epice pierwszej wojny światowej nie wydawało nam prawie zupełnie książek polskich, ale dlatego, że w dziedzinie poezji polskiej od paru lat panowała kompletna posucha. Tełmaier, Kasprzowicz milczeli zupełnie. Kasprzowicz ogłosił swoją „Księgę Ubogich” mniej więcej w tym samym czasie, w którym wszedł pierwszy tomik Tuwima. Pierwsze wiersze Iłakowiczówny ogłoszone w „Słonie” latem 1914 roku znane były niewielu wybranym „Sonetów” Słomkowskiego nie uderzały nowością, pięknem, zapewne, ale w niczym nie zdradzały przyszłej pasji poetyckiej jej autora. W jałowej tej pustce błyszczała jedynie znakomita gwiazda Staffa i do tej poezji nawiązywał wyraźnie Tuwim w „Czyhanie na Boga”.

Toteż tomik Tuwima rozszedł się niezwykle prędko, zwłaszcza wśród młodego pokolenia, któremu — jak to powiedział Wincenty Rzymowski — „Tuwim przywiózł wiarę w słowo”. Z niczym nie da się już dzisiaj porównać wrażenia, jakie wiersze Tuwima zrobiły wtedy na nas. Niewątpliwie odczuliśmy to wszyscy jako początek nowej ery poetyckiej. W troche skomplikowanym stylu swoim — a jednak dobitnie — określa rolę wystąpienia Tuwima Horzyca: „Dlatego Tuwim, wywieśszający za przykładem swojego amerykańskiego mistrza (Walta Whitmana) sztandar sztuki demokratycznej”, chorągiew na prac ludzkich wieży”, i tak spełnił mimowiednie naczelną nakaz romantycznego testamentu, przyjmując niejako we własną pierś wszystkie dawne wysiłki, zmierzające do przepowiedzianej sztuki, „na polskim opartej ogniu-

wie”, a na konkretnej twórczości i codziennej pracy narodu zbudowanej.

Mówiąc prostszym językiem, uderzały nas w sztuce Tuwima jej demokracja, jej związek z narodową tradycją poezji polskiej, wyraźne nawiązywanie do romantyków w formie, oparcie jej o ludowość polską, wreszcie głęboki — w owej epoce chyba zaledwie przez Tuwima i Horzyca przeżywany — związek z konkretną walką i twórczością narodu.

Toteż poznanie Tuwima, pierwszego „prawdziwego” poety, którego dłoń uściskałem, było niezwykłym zdarzeniem w moim życiu. Uderzyła mnie przy tym nadzwyczajna serdeczność i prosta przyjaźnielność, z którą się do mnie odnosił od pierwszej chwili. Była to serdeczność i pewnego rodzaju szacunek — które mnie bardzo uderzyły i bardzo cieszyły, gdyż nie byłem przyzwyczajony do tego, aby mnie traktowano jako poważnego „literata”. Trzeba dodać, że Juiek mógł znać wówczas zaledwie parę „Oktystychów” świeżo ogłoszonych w „Pro Arte”, a których powodzeniu zawdzięczałem zaszczyt zaproszenia mnie do udziału w występie „Pod Picadorem”.

Nasrój listopada roku 1918 był bardzo burzliwy. Ludność chętnie wychodziła na ulicę, chętnie zawiązywała się w pochody, i słuchała przygodnych mówców. Hasło „Poezjo, na ulicę!” widniało na drukowanym prospekcie „Picadora”, który mi wręczył Tadeusz Raabe. Brałem to hasło na serio i wydawało mi się — jak zapewne i moim rówieśnikom — że czytanie kilku wierszy pomiędzy jedną filiżanką kawy a drugą jest wyjściem poezji na ulicę. A tymczasem „Pod Picadorem” gromadziła się ta sama mieszczańska publiczność, z którą pragnęliśmy walczyć. Wstąpiłem na nasze popisy był dosyć drogi, kosztował bowiem całych pięć marek. Oczywiście, że tylko zamożniejsi mieszczanie mogli sobie po-

(Dokończenie na str. 4)

Młodzież ze Szlembarku

STANISŁAW ŁUDKIEWICZ

W sprawie młodzieży

Szanowni Towarzysze!

Wasz list otwarty „Do Przyjaciół w Różnicy”, zamieszczony w numerze 51/52 „Nowej Kultury”, nie może pomniejszyć, według mnie, uczucia niepokoju, jakie wywołały poprzednie komentarze „Nowej Kultury” do materiałów zamieszczonych w dyskusji o sprawach młodzieży. List ten ma być — o ile się nie mylę — swoistą formą samokrytyki. Trzeba od razu powiedzieć, że zastosowanie w tym wypadku formy listu otwartego to dość określona droga. Jednak najważniejsze to treść tego listu. W liście tym redakcja nie przyznaje wprost, iż potrzebnej i mogącej być pożyteczną dyskusji o sprawach młodzieży nadała fałszywy kierunek, że sprowadziła ją do gromadzenia negatywnych faktów z życia części naszej młodzieży, sugerując swymi komentarzami, że oblicze naszej młodzieży to oblicze autorki „Pamiętnika uczennicy” i studenta z „Trzech sygnałów alarmowych w sprawie młodzieży”. Zamiast otwarcie to przyznać, artykuł tłumaczy szczegółowo młodzieży w Różnicy, że młodzież polska w swej masie jest zdrowa, aktywna w budownictwie socjalistycznym, że o jej obliczu stanowią setki tysięcy młodych budowniczych Warszawy, Nowej Huty, młodych robotników Żerania, „Ursusa” itd. Przecież nie młodzieży z Różnicy trzeba to chyba tłumaczyć. Redakcja „Nowej Kultury” próbuje usprawiedliwić nadany przez nią kierunek dyskusji i pisze, że zamieszczając „Pamiętnik uczennicy” chciała właśnie wywołać polemikę, m. in. taką, jaką zawierał list młodzieży z Różnicy do redakcji. Jak wynika z „Listu do przyjaciół w Różnicy”, zamierzeniem „Nowej Kultury” w dyskusji było, aby „niejedna organizacja ZMP w szkole i poza szkołą przeczytały „Pamiętnik” uprzytomniła sobie, że i w jej zasięgu znajdują się podobne zagubione dziewczęta i chłopcy. I że wówczas poszukają dróg przyścisła im z pomocą”. Czy wynika to jednak z zamieszczonych przez redakcję materiałów, czy z jej komentarzy? Moim zdaniem, nie. Wszyscy, którzy z „Nową Kulturą” polemizowali, odczuli, że kierunkiem, jaki redakcja nadała dyskusji, postawiła ona pod znakiem zapytania cały nasz dorobek w dziedzinie socjalistycznego wychowania młodzieży. Któż Wam takie wątpliwości podsuwa? Życie? Wolne żarty! Nie życie, nie sytuacja wśród młodzieży może podsunąć taki kierunek dyskusji, takie wątpliwości — lecz nieznaną sytuację wśród młodzieży.

W numerze 300 „Sztandar Młodych”, Centralny Organ ZMP, zamieścił artykuł, w którym wypowiedział swoje zdanie odnośnie braków w dyskusji „Nowej Kultury”, bardzo samokrytycznie zanalizował pracę ZMP i wystąpił z propozycją rozwinięcia dalszej dyskusji w sprawach młodzieży na płaszczyźnie, jak pomóc ZMP w polepszeniu i pogłębieniu pracy wychowawczej, tak aby nauczył się on lepiej ogarniać swym oddziaływaniem wychowawczym całą młodzież. Specjalne postulaty wysunął „Sztandar Młodych” w tym artykule pod adresem pisarzy. Wydaje się, że istnieje potrzeba, aby redakcja „Nowej Kultury” zajęła stanowisko wobec tego artykułu, zwłaszcza wobec propozycji zawartych w nim odnośnie do kierunku dalszej dyskusji. Niesposób przecież w sprawach młodzieży nie liczyć się ze zdaniem ZMP.

Jasne, że ustosunkowanie się do tego artykułu jest równoznaczne z przeanalizowaniem dopuszczonych w toku dyskusji błędów. Niezajęcie przez redakcję stanowiska wobec braków w dotychczasowej dyskusji nie przyczyni się do zlikwidowania zamętu w niejednym głowie spowodowanego jej dotychczasowym kierunkiem i utrudnia rozwiniecie szerokiej dyskusji we właściwym kierunku, w kierunku przedyskutowania metod zmierzających do polepszenia pracy wychowawczej ZMP. W kierunkach wydawniczych zwiększenia pomocy działaczy kultury i sztuki w wychowaniu młodzieży. A tymczasem niekiedy nadal leżą problemy, z którymi boryka się nasza młodzież, z którymi nie może sobie dać rady nasz aktywista zetempowski i czeka na tę pomoc.

Wziąłem, towarzysze, do ręki pocztę do redakcji z kilkunastu ostatnich dni. Popatrzenie, co w niej jest ciekawego.

Jan Stanisławowski z Gostynina, uczeń szkoły ogólnokształcącej im. T. Kościuszki, pisze m. in.:

„Jestem uczniem kl. XI Szkoły Ogólnokształcącej im. T. Kościuszki w Gostyninie. Wczoraj koło naszej klasy miało zebranie szkoleniowe. Po pogadance była dyskusja.

W dyskusji wypowiedziałem niektóre swoje wątpliwości. Otóż przypuściliśmy, że jest dwoje młodych ludzi. Kochają się. Chcą się pobrać — i tu zachodzi trudność. On jest człowiekiem nowym, niewierzącym w Boga, wierzy tylko w ludzi, w ich siłę. Słub kościelny uważa za bezmyślny, śmieszny obrządek, żerujący na ludzkiej głupocie i ograniczeniu.

A ona? Ona myśli inaczej. Niby w wielu sprawach zgadza się z nim, jest aktywna w pracy społecznej i w ogóle, ale gdy dochodzi do ślubu, do tak ważnego wydarzenia w życiu ludzkim — ulega rodzinie, dawnym nawykom, chce ślubu kościelnego.

Czytałem w „Baśniach włoskich” Gorkiego o podobnym fakcie. Właściwie rzecz biorąc to zmyśliłem ten konflikt. To mi może ktoś zarzucić. Ale nie zmyśliłem go na poczekaniu, zastanawiałem się już nad nim, nad możliwością jego istnienia.

Bo czyż nie ma u nas zatargów na tle religij, światopoglądu? Ileż to jest takich „dzieci wyrodných” co porzucają wiarę ojców!

Czy poszło im to łatwo? Chyba nie. Może więc by im pomóc i urządzić jakąś dyskusję?

Czytuję „Sztandar Młodych” od chwili gdy zaczął wychodzić. Były już takie dyskusje. Były bardzo ciekawe. Myślę, że są takie pary, o jakich wspominałem wyżej. Jeżeli nie ma — to będą, albo może już były. Jeżeli są — to co mają robić? Zrezygnować ze szczęścia? A może mają się dobierać według zgodnych światopoglądów?

Co do tego wszystkiego jest tylko jedno rzecz pewną: nowe widzi się wszędzie do umysłów najsłabszych ludzi. Gdy tylko ruszą się i zaczęta myśleć, napotykać na przeszkodę ze wszystkich stron. Bog, religia, ciotki, babki, kumy — przeciw nim.

Jeszcze raz wróć do przykładu z dwójgim zakochanych. Otóż on jest materialistą, nie przywiązuje żadnej wagi do ślubu kościelnego, mógłby w końcu ustąpić jej, co by mu to zaszkodziło? Albo mógłby pojechać z nią gdzieś pod Częstochowę i nikt z towarzyszy o jego wyczynie by nie wiedział.

Tyle droga, Redakcjo. Prosiłbym o trochę wyjaśnień. Chciałbym się dowiedzieć, co inni myślą o tym, czy spotkali się z takimi faktami?”

Oto, towarzysze, przed Wami splot kilku ważnych problemów wychowawczych. Tutaj jest i sprawa obłudy, i sprawa stosunku do ludzi oszukujących ZMP, i sprawa konfliktu na tle światopoglądowym. Konflikty te są dziś częste. Autor

listu pisze, że wymyślił ten konflikt, ale można Was zapewnić, że konflikt taki istnieje i figurował już w niejednym liście do redakcji. Czy może ten konflikt być właściwie rozwiązany przez ogłoszenie dyskusji w gazecie lub tylko przy pomocy odczytu, czy też broszury szkoleniowej? Przecież nie. Literatura, sztuka, poezja, pieśń, dramat, komedia — muszą tutaj pomóc. Bez tego się nie obejdzie.

Inny problem. Pisze Krystyna Gilko z Częstochowy:

„Już dawno zamierzałam do Ciebie napisać, zawsze jednak nie wiedziałam czy zwracać się do Ciebie w takich sprawach. Sama poradziłam sobie nie mogę, dlatego proszę Ciebie „Sztandarze Młodych”, poradź mi. Wiem, że Ty mi dobrą radę dasz, bo znasz potrzeby młodzieży.

Urodziłam się 12.10. 1932 roku jako córka robotnika. W 1951 ukończyłam Liceum Administracyjno-Gospodarcze II stopnia w Jeleniej Górze. Obecnie mieszkam w Częstochowie. Pracuję w Przedsiębiorstwie Budowy Kopalń Rudy Żelaznej w Częstochowie. Ośrodek Kopalni „Nowa Wieś” w Nowej Wsi koło Częstochowy w charakterze starszego referenta zatrudnienia i płacy.

Należę do ZMP. W 1952 roku założyłam na kopalni „Nowa Wieś” koło ZMP, jestem nawet nieetatowym instruktorem Zarządu Powiatowego ZMP w Częstochowie.

Wszystko byłoby dobrze, ale ja nie lubię swojej pracy. Jestem młoda i zdolna, uważam, że moje miejsce powinno być przy produkcji, a nie przy biurku. Chciałam się zgłosić na Zaciąg Pionierski, ale niektórzy się ze mnie śmiali. Ja tyle czytałam w prasie i w książkach o budowie Nowej Huty, że nawet dziś chciałabym tam być i budować to nasze pierwsze socjalistyczne młodzińskie miasto. Bardzo chciałabym pracować gdzieś przy maszynach, a po pracy w świetlicy ćwiczyć w zespole artystycznym. W biurze tracę dużo czasu po godzinach i niby to się pracuje, ale tej pracy nie widzę. Gdy będę pracowała przy maszynach, np. przy tokarce, to pracę swoją będę widzieć i gdy zostanę po godzinach w pracy to dam dodatkową produkcję, a w biurze to nie. Zawsze tylko papierki i papierki.

Zawsze marzę i kombinuję, jakby tu się dostać na budowę Nowej Huty. Nie wiem jednak czy by mnie przyjęto, czy znalazłaby się dla mnie praca, jako ucznia w warsztatach mechanicznych. Może by mnie przyjęto. Tyle dziewcząt pracuje przy maszynach, dlatego ja nie miałabym pracować.

Stucham przez radio pogadankę o Nowej Hucie, czytam w prasie, czytałam książkę pt. „Początek opowieści” aut. Brandysa o Nowej Hucie. Wszystko bardzo mi się podobało.

Bardzo Cię proszę drogi „Sztandarze Młodych” poradź mi, co mam robić, czy starać się o przyjęcie do Nowej Huty, czy pracować nadal na kopalni jak pracuję? Myślałam nawet w sprawie przyjęcia napisać do Zarządu Miejskiego ZMP w Nowej Hucie, jednak nie napisałam.

Drogi „Sztandarze” proszę bardzo o odpowiedź i jeśli to jest możliwe to na adres zamieszkania nie w piśmie — bo, mimo że jestem prenumeratorem „Sztandaru Młodych”, nie zawsze go jednak czytuje.

Za odpowiedź i rady dziękuję!

Oto, znów, towarzysze, kilka problemów. Dziewczyna rwie się do Nowej Huty, nudzi ją praca w biurze z papierkami. Wydaje się jej, że tylko tam w Nowej Hucie może odczuć całą pełnię życia. Pięknie, szlachetne pragnienie, ale czy nie będzie praca jest u nas ważna, czy nie każda służy naszemu narodowi, czy nie w każdej pracy można znaleźć zadowolenie? Naiwnością byłoby sądzić, że właściwie, przekonywając można te sprawy rozstrzygnąć tylko artykułem w gazecie, lub odczytem. Tu jest potrzebny artysta, pisarz, człowiek sztuki, jego znajomość człowieka, jego mistrzostwo. Grafię, uchwycił te sprawy Jurandot, w „Takich czasach”. Ale to nie wystarczy, to dopiero początek.

I jeszcze coś innego: „Jestem młoda, mam 19 lat, pracuję w Krakowskich Zakładach

Przemysłu Odzieżowego i tu jestem zetempówką. Mąż mój jest również młody, pracuje w Krakowie w Centralnych Warsztatach Elektromechanicznych. Po południu uczęszcza do Technikum Mechanicznego dla Pracujących. Jest również członkiem ZMP. Miesiąc temu wyrzucił mnie mąż z domu na życzenie swojej matki, która mnie nie lubiła i namawiała męża, by ze mną nie żył.

Ja jestem w siódmym miesiącu ciąży i teraz nie wiem co mam robić. Mąż mój wcale o tym nie myśli, że zostanie ojcem i ciągle myśli, że dostanie rozwód na tej podstawie, że ja chodzę do kościoła, a on nie.

Mnie się zdaje, że członek ZMP wcale tak nie postępuje, nie wyrzuca żony w ciąży z domu. Ja jestem teraz u rodziców, którym jeszcze muszę pomagać, a przy tym czuję się już bardzo słabo, wszystko mi strasznie boli. Mój mąż był mną, gdy nie chciałam iść z jego domu, nie zważając na to, że jestem w ciąży.

Tak postępują tylko bikiniarze, a nie ludzie postępowi, którzy mają być przyszlachcicielami Ludowej i być ojcem i wychowywać swoje dzieci na dobrych i szlachetnych ludzi. Bardzo proszę o skierowanie tej sprawy w odpowiednie ręce i uważam, że organizacja ZMP zainteresuje się swoim członkiem, może naprowadzi męża na dobrą drogę i wytłumaczy, jak ma postępować w stosunku do swej żony i przyszłego dziecka.

Ja naprawdę proszę o pomoc, bo już nie mam się do kogo udać, by męża naprowadził na drogę życia, bo na razie jest w błędzie, myśli, że ja się nikomu nie poskarżę i będę tak cierpieć. Może organ ZMP porozmawia z moim mężem, a wtedy będę wiedziała co mam robić. Polska Ludowa nie rozbiła przecież małżeństw, lecz im tłumaczy, jak mają żyć i postępować względem swoich żon, mężów i swych dzieci!”

Niedobrze wychowała organizacja zetempowska męża tej młodej kobiety. Gorzej — bo kiedy przyjechał tam przedstawiciel redakcji, wiele wysiłku kosztowało go przekonanie nie tylko miejscowego Zarządu ZMP, lecz i egzekutywy partyjnej, że sprawa ta nie jest prywatną sprawą autorki listu i jej męża. To na pewno się sygnalizuje dla ZMP, że trzeba się systematycznie zajmować takimi sprawami, jak stosunek młodego człowieka do rodziny, do żony, do dziecka, do kobiety. Ale to na pewno jest również sygnał dla pisarzy, działaczy sztuki, że zagadnienie tych nie stawiających do daleko wyższy poziom pracy wychowawczej młodego człowieka, słabo walczą z przeżytkami starego w tych sprawach.

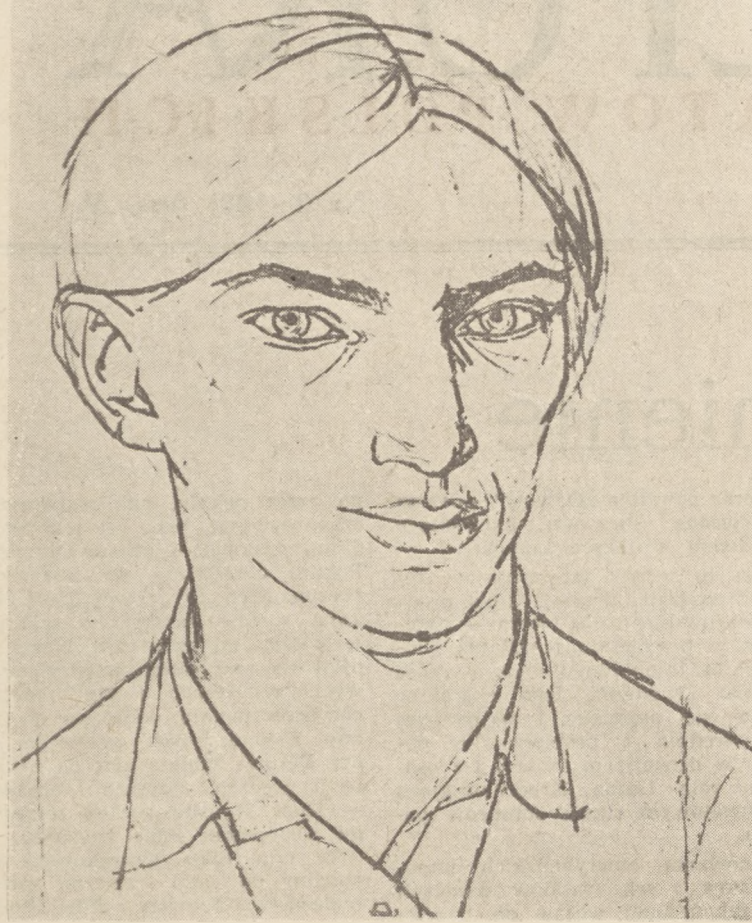
Takie i tym podobne sprawy nurtują naszą młodzież. Jest ich oczywiście o wiele więcej. Pomocy w ich rozwiązywaniu oczekuje młodzież, a zwłaszcza aktyw ZMP-owski, od pisarzy, dramaturgów, poetów, filmowców, aktorów, od kompozytorów, autorów piosenek, od wszystkich ludzi nauki i sztuki. Dlatego ta pomoc jest niedościgniona? Co zrobić, by była ona większa? Dlatego te tematy w tak znikomym stopniu przyciągają naszych twórców? Jak pogłębić, podnieść na daleko wyższy poziom pracę wychowawczą ZMP we wszystkich środowiskach młodzieży?

Oto wydają się być słuszne tematy do dyskusji. Lista ich może być oczywiście szersza — ale kierunek jest jasny: co zrobić, by lepiej wychowywać młodzież?

W tym kierunku kontynuowanie dyskusji wydaje się być bardzo pożytecznym. Cenne w niej będą Wasze wypowiedzi oraz wypowiedzi naszych twórców ze wszystkich dziedzin sztuki, działaczy kultury i oświaty.

Proszę Was, towarzysze, o zamieszczenie tego listu na łamach „Nowej Kultury”. Sądzę, że przyczyni się on do rozwinięcia tej dyskusji.

Stanisław Łudkiewicz
redaktor naczelny
„Sztandaru Młodych”



Józef, uczeń Liceum Górniczego w Zabrzu



Celinka

Z wystawy rysunków Tadeusza Kulisiewicza

Po zgonie Tuwima

Kijów, 29.XII. 53 r.

Pisarze Radzieckiej Ukrainy boleją głęboko nad śmiercią znakomitego poety polskiego, przyjaciela i towarzysza Juliana Tuwima. Życie jego było przykładem bezkompromisowego służenia sprawie swojego ludu i sprawie braterskich związków ze wszystkimi kochającymi wolność narodami. Utwory jego budziły gorące echo w sercu każdego człowieka, walczącego o demokrację, pokój i szczęście ludu pracującego. Talent swój Tuwim oddał sprawie walki o szczęście ludzkości. Nigdy nie zapomnimy wiecznie żywego dla nas obrazu naszego towarzysza i przyjaciela, jego utwory zawsze żyć będą w naszych sercach. Chwała pamięci Juliana Tuwima!

Aleksander Korniejczuk, Mikola Bażan, Pawło Tyczyna, Wanda Wasilewska, Lubomir Dmyterko, Maksym Rylski, Andrej Malyszko, Oleś Gonczar, Natan Rybak, Wiktor Niekrasow, Semen Sklarenko.

*

Mińsk, 29.XII. 53 r.

Razem z pisarzami polskimi stajemy w głębokim żalu nad grobem przedwcześnie zmarłego wspaniałego poety polskiego, Juliana Tuwima, i składamy głowy przed jego świetlaną pamięcią. My, ludzie radzie-

cy, straciliśmy w osobie Tuwima płomiennego propagatora utworów wielkich poetów rosyjskich, których święty gniew znalazł nieporównany wyraz w znakomitych tłumaczeniach Tuwima. Prosimy o przekazanie wyrazów gorącego współczucia rodzinie Tuwima.

Kolas, Surkow, Isakowski, Browka, Czyszkow, Krapiva, Mozolkow.

*

Praga, 29.XII.53 r.

Szanowni Przyjaciele, z najgłębszym współczuciem dowiedzieliśmy się, że bratnia nam poezja polska poniosła ciężką stratę przez śmierć znakomitego poety Juliana Tuwima. Społeczeństwo nasze zawsze wysoko ceniło wspaniałe utwory zmarłego mistrza i jego przyjaźń dla Czechosłowacji oraz jej kultury. W imieniu czeskich i słowackich pisarzy prosimy Was o przyjęcie wyrazów naszego głębokiego żalu wraz z zapewnieniem, że twórczość Juliana Tuwima zawsze drogą będzie zarówno naszej społeczności literackiej, jak całemu czechosłowackiemu ludowi.

Za Związek Literatów Czechosłowackich

Jan Drda, Milan Lajciak, Josef Sekera.

*

Sofia, 28.XII. 53 r.

Pisarze bułgarscy ślą Wam, drodzy Przyjaciele, swoje gorące wyra-

zy współczucia w związku z ciężką dla polskiej literatury i polskiego ludu stratą, jaką jest śmierć wielkiego poety, obywatela i wspaniałego człowieka — Juliana Tuwima. Składamy głowę przed świetlaną pamięcią Juliana Tuwima.

Za Związek Literatów Bułgarskich z-ca Sekretarza Generalnego Kamen Kalczew

*

Moskwa, 29.XII. 53 r.

Głęboko boleję z powodu śmierci Juliana Tuwima, wspaniałego polskiego poety, którego wiersze tak dobrze są znane i kochane w Związku Radzieckim. Proszę przyjąć wyraz najszerszego współczucia i przekazać je Rodzinie Zmarłego.

Aleksander Fadiejew

*

Moskwa, 31.XII. 53 r.

Składam głowę przed świetlaną pamięcią wielkiego poety i wielkiego człowieka. Ponad 30 lat łączyła mnie z Julianem Tuwimem głęboka przyjaźń, zawsze czulem blisko natchnioną Jego obecność. Razem z pisarzami polskimi, razem z pisarzami całego świata oplakuję tę ogromną stratę.

Ilia Erenburg

*

Berlin, 30.XII.53 r.

Drodzy Przyjaciele, z ogromnym żalem dowiedzieliśmy się o śmierci wielkiego poety polskiego Juliana Tuwima. Znałem Tuwima dzięki jego utworom od wielu już lat i gdy przybyłem do Warszawy, gdzie poznałem go osobiście, było to dla mnie jednym z najsilniejszych wrażeń. Julian Tuwim rozlał swój daleko za granicami swojego kraju wielkość polskiej poezji i tym samym — poszerzył chwałę własnego kraju. Mv. poeci, schylamy w żalobie głowy przed jego geniuszem, który po wszystkie czasy należeć będzie do klejnotów światowej poezji.

Johannes R. Becher.

K 19903

MODRZEWSKI DLA WSZYSTKICH

ANDRZEJ FRYCZ MODRZEWSKI

WYBÓR PISM

Wybrał, opracował i wstępem opatrzył
Łukasz Kurdybacha

Przekład Edwina Jedrzejewicza („Mowy” — „O poprawie Rzeczypospolitej”) —
ks. I-V, „Szlachcice Polski i szlachcice reszty Świata”) Irenej Lichoniskiej
(fragmenty „O prymacie papieża”) i Leona Joachimiowicza (fragmenty „Sy w”) —
str. 258

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

Narada w sprawie młodzieży

Dnia 4 stycznia br. odbyła się w Warszawie zorganizowana przez redakcję „Nowej Kultury” narada, w której udział wzięli ponad 200 pedagogów, działaczy młodzieżowych, dziennikarzy i ligistów. Po zwołaniu zebrania przez red. Konwickiego uczestnicy w przeszło siedmiodziesięciu dyskusji poruszyli

szereg istotnych problemów, związanych zarówno z toczącą się na łamach naszego pisma dyskusją o młodzieży, jak też podzieliли się własnymi doświadczeniami. Wypowiedzi z tej bogatej w wyniki narady opublikujemy w jednym z najbliższych numerów.

Ankieta „Nowej Kultury”

Pisarze wobec dziesięciolecia

ZOFIA NAŁKOWSKA:



miejsca, w którym fakt wartości literackiej i możliwość jej oceny zaczyna istnieć. Proces zbliżenia literatury i proletariatu odbywa się tam przynajmniej z obu stron, niejako wspólnym kosztem. U nas zaś ta tendencja, w stosunku do sowieckiej spóźniona i wtórna, prowadzi tylko do niecelowej wulgaryzacji, do uprzywilejowania literackiego amatorstwa, raczej dogadzając niskiemu poziomowi czytającego inteligenta, niż służąc robotnikowi. Dziś krytyka sowiecka bardzo surowo zwalcza pisanie „po gazietno” (które rozpanoszyło się w epoce reportażu), tępi łatwinę i szablon. Rodzajem uprzywilejowania jest technika realistyczna wolna od „impresjonizmu”, lub od „estetycznego przewzięcia rzeczywiści”. Od autorów żąda się nie tylko „dobrze i szeroko postawionego problemu”, ale też wysokiego poziomu artystycznego.”

*

Również dość dawno, podczas obrad Kongresu PEN-klubów w Paryżu nad organizacją międzynarodowej krytyki literackiej, mówił:

„Twórczość literacka w najlepszych swoich dziełach skłonna była zawsze rozważać człowieka pośród zbiorowości, nie jako wyraz tej zbiorowości, ale raczej jako jej zaprzeczenie. Człowieka w opozycji do miejsca i czasu, w którym żyje, zmagającego się albo ze społeczną hierarchią zbiorowości, albo z obowiązującym w jej obrębie systemem pojęć moralnych. W tym przeciwstawieniu dopiero ujawniają się głębokie węzły dramatyczne, wiążące człowieka ze światem. Dochodzi do głosu świeży materiał introspekcji — niestety jeszcze przez użycie, nie spoufalony ze słowem.”

Zdaje się być pewne, że różnice między ludźmi zależne od stopnia długości i szerokości geograficznej, należą tematycznie do kategorii niższej niż podobieństwa, wynika z faktu zamieszkania gatunku ludzkiego w obrębie jednej ziemskiej „oekumeny”. Co więcej, że ważniejsze dla celów literackiej tematyki okazują się różnice, istniejące wewnątrz poszczególnych regionów narodowych — różnice zawodowe i klasowe. Różnice natomiast między regionami narodowymi mają znaczenie tylko na bardzo niskich stadiach wymiany kulturalnej. Jest to rodzaj eksploatacyjnej przez literaturę podróżniczą, przez reportaż egzotyczny, rodzaj dyskwalifikujący w pewnym stopniu twórcę literackiego, o ile do nich przenika.

Można by powiedzieć, że determinującym czynnikiem zewnętrznym człowiek ulega silnie wówczas, gdy je sobie sam zgłotował lub uruchomił, niż wówczas gdy je zastał w geograficznych warunkach swego

kraju. Ale i te różnice, zależne od podłoża gospodarczego i urządzeń społecznych, różnice powtarzające się niemal identycznie w różnych szerokościach geograficznych — w ogólnej skali międzynarodowej okazują się właśnie podobieństwami. Toteż rola międzynarodowej krytyki literackiej wobec poszczególnych literatur polegałaby właśnie na wyodrębnianiu momentów łączących, ustalaniu postaw artystycznych i twórczych o charakterze pokrewnym i wreszcie wykrywaniu w nich pewnych ogólnie obowiązujących praw.”

*

Tak więc mam wrażenie, że do wielkiej przemiany, jaka zachodzi u nas od lat dziesięciu, byłam w pewnej mierze przygotowana. Ze nie musiałam się „przełamywać”.

Nie rzadko czytam — zwłaszcza gdy idzie o moje książki dawniejsze — że wadę ich stanowi estetyzm, formalizm i psychologizm. W książkach późniejszych krytycy znajdują już cechy realistyczne. Jednak nawyki i upodobania dawne powracają.

Bo oto — na ten raz już tylko trzy lata temu — zagajając nowy cykl ostatnich Sekcji Prozy ZLP — wywodziłam, że wybór tematu jest nie tylko przywilejem pisarza, ale jego obowiązkiem. I w dalszym ciągu obstał przy tym mniemaniu, lekceważonym przez naszą krytykę normatywną. Złazcza że znalazłam świeżo poparcie u pisarza tak doświadczonego jak Erenburg.

Podobnie — uważając rzeczywistość za niezaprzeczane źródło natchnień tematycznych — sądzę, że powinna być w dziele twórczym doznana poprzez człowieka — jego los, jego uosobienie, jego cechy indywidualne, jego — powiedzmy to słowo — psychologia.

*

Na zasadzie moich wieloletnich doświadczeń utrzymuję z uporem, że właśnie temat — nie narzucony przez zamówienie ani zalecony przez krytykę — determinuje środki wyrazu. Pracując zaraz po wojnie w Komisji Badania Zbrodni robotników nie dlatego, by znaleźć materiał do nowej książki. A pisząc następnie *Medaliony* nie myślałam wcale, że robię to inną techniką, w innym trybie literackim, niż książki dawniejsze. Sam temat — tak trudny do objęcia myślą, tak uczuciowo nie do wytrzymania — sprawił, że użyłam tych realistycznych środków wyrazu. Nie z góry powzięty zamiar ani moje postanowienie.

Teraz — po definitywnym ukończeniu *Węzłów Życia*, których rozszerzony w nowym wydaniu tom drugi ukaże się niebawem — mam jeszcze do napisania *Życie wznowione*, też dawno rozpoczęte.

*

A oto jeszcze trochę starych zwierzeń sprzed lat dziesięciu.

„Adamowizna 7.II.44.

Cóż za dziwny poranek. Od piętej nie przestaje myśleć o tych ludziach fikcyjnych — Edmund, Celia, Katarzyna, Baraz. I ta nieładna kobieta w lodowatej sukni. Tego pełną mam głowę, nie innego nie robię, tylko to. Ach, rozpętałam rzeczy bardzo dla mnie trudne, mam zamiary maksymalne, chcę złapać i unieruchomić to wszystko. I jeszcze raz myślę, jak ludzie starzy, że nie zdąży, że nie starczy mi czasu na drugi tom, czasu albo tchu. Ze nie zrobię wcale książki o ojcu. — I to on sam właśnie zdziwił mnie kiedyś, mówiąc o swoich *Zjawiskach istmicznych*, że już tej książki nie napisze! Powiedział to do mnie w swym pokoju ostatniego naszego mieszkania na Wielkiej — więc na trzy najwyżej miesiące przed śmiercią. I naprawdę już nie skończył tej książki.

Adamowizna 9.II.44.

Jak zwykle gdy piszę, nie czytam beletrystyki, tylko rzeczy teoretyczne. Prócz Kotarbińskiego, który daje się czytać powoli mam tu *Wprowadzenie do zagadnień filozoficznych* Metallmana, *Zasady biologii ogólnej* Dembowskiego, *Radziwiłowicza Szkice psychologiczne* i *Veitulańskiego* broszurkę *Krajenie pierwotności w przyrodzie*. Ale oprócz swoich książek jest jeszcze wiele pokus w niedawno sprowadzonej tu pięknej bibliotece rodzinnej „Zeta”. Niemcewicz, Trembecki, cały Montequieu, stare pamiętniki historyczne, *Święte niewiasty* Hoffmannowej. Ale nie pozwalam sobie zbyt daleko w to wejść, nie mam już na to czasu.”

I jeszcze coś z mroków tamtejszej ciemności:

„Warszawa 20.II.43.

Krążąca prawie wyłącznie między tym tutaj kątem przy oknie i sklepem z jego wszelkimi rachunkami — żyję właściwie jakimś życiem ogromnym i skondensowanym, od którego trzeszczę w moich więzaniach, od którego pali mi się głowa w bezsenne godziny przed świtem. Myśli o ludziach przede wszystkim, o ich nieprzebranych, nigdy nie ogarnionych sprawach, ale także o ogarnięciu i świecie i o sobie. Te myśli są dla mnie męczarnią — właśnie gdy przenikają w sferę największego prawdopodobieństwa (dosłownie: *podobieństwa do prawdy*), gdy robią się gorące od uczucia i kolorowe od rzeczywistości. Dlaczego? Dziś pomyślałam po raz pierwszy, że wcale nie jest konieczne, abym je zapisała, skoro to jest niemożliwe w obecnej mej organizacji życia, skoro mi to jest ze wszystkich względów nie dane. Czyż nie mogę myśleć tak i czuć całkiem bezinteresownie, bez troski o „twórczość”, o utwalenie. Uważałem, że to właśnie jest moje życie i nic więcej, że mogę sobie pozwolić na cały ten olbrzymi luksus — ja sama i na sobie się kończąca. — Powzięłam więc tę decyzję i dozna-

łam ogromnej ulgi, boję się powiedzieć, że aż szczęścia. I to tylko sobie tu zapisuję, opuszczając, oddając zapomnieniu wszystko inne. Oto uchylam się od domyślnych obietnic i zobowiązań, pozwalam sobie rość, myśleć i czuć bez żadnych wynikających z tego konsekwencji. Nie znaczy to, że przestaje „tworzyć”. Owszem, poza zamkniętymi powiekami roją się i chrzęszczą strojni, świetni ludzie w straszliwym blasku złotych, malachitowych, lustrzanych sal na raucie, na którym zebrało się wszystko, co za parę miesięcy ma runąć w nicość. Przybierają różne imiona i twarze, stają się rzecznicami różnych widzeń tego świata, różnych systemów, różnych sposobów, różnych systemów centryfugi, służącej do odwirowania społecznej śmietanki. No, chodzą i nie z tego nie wynika, nie otwieram oczów, nie zapalam małej lampeczki naftowej, nie biorę ołówka, nie zapisuję nic.

„Twórczość” odbywa się, ale tylko w obrębie mnie samej. Co za luksus! Piszę powieść, którą ja tylko czytam. I proces zamyka się łagodnie, bezboleśnie.

Warszawa 27.II. 43

Dziwiłam się innym — tak umęczona ich losem, zawsze gotowa podstawić siebie w węzeł ich niezmiernego cierpienia. „Los bezsensowny” — w tym liście ostatnim! I tego już nie ma, kto to pisał (Bruno Schulz). Jak to zrozumieć, jak to wytrzymać. Dziwiłam się, nie mogąc pojąć tego losu i wobec niego postawy. Dziś, gdy ten los jest moim, postępuję tak samo. Są dni, w których żyję tak, jakbym miała żyć jeszcze jutro i pojutrze. I za rok. Nie myśląc już o tym, że i tak jestem stara i że się kończę. I że wszystko naokoło się kończy. Z wielu przekrojów rzeczywistości wybieram ten, w którym mogę jakoś oddychać. Błogosławione szczegóły dnia, słońce wschodzące przed odsloniętymi umyte szyby, uprana koszula i pończochy, jeszcze raz uporządkowane książki. A właśnie dziwiłam się, że siedzieli w swym kącie do ostatka, że nie poszli pod gołe niebo, na puste drogi polne i leśne. I sama nie podobnego nie umiem wytrzymać i po krótkiej próbie rezygnuję. — Wybór jednej rzeczywistości czy ostatecznie jednej prawdy, ustalenie się w niej, uznanie jej za swoją — to jest siła ludzi zdolnych do decyzji, do „czynu”. Wybór jednej — wbrew światu, który chce, by ich było wiele — to jest siła człowieka pośród tego straszliwego akceleraacji śmierci. Życie ledwie dyszy, przywalone ziomami roztrząskanych rzeczywistości. — Czy mam zgodzić się wreszcie na ich mnogość, stać pośród łoskotu świata z zamkniętymi oczami, z palcami rozczepionymi w mroczkach, by wyczuwały powiewy nadchodzącego, chrobotanie i chrzęst przyszłości, w której nie będzie już mnie?”

PARYSKI SEZON LITERACKI

Walka przeciwko Europejskiej Wspólnocie Obronnej

(KORRESPONDENCJA WŁASNA „NOWEJ KULTURY” Z PARYŻA)

Ruch protestacyjny szerokich mas społeczeństwa przeciwko Europejskiej Wspólnocie Obronnej przybrał we Francji tak wielkie rozmiary, iż znajduje on swe odbicie w najróżnorodniejszych dziedzinach życia narodowego, a zwłaszcza w literaturze. W literaturze postępowej to rzecz rozumiała. Ale przejawia się on i w innej. A także w decyzjach jury literackich.

Przypomnijmy sobie nagrody literackie, jakie przyznano w ubiegłych latach. A raczej skonstatujmy, że nie zachowały się one w naszej pamięci. Większość nagrodzonych utworów stawiała sobie za cel gloryfikowanie upadku człowieka. Ze wszystkich możliwych kandydatów wybrano tych, których twórczość była najbardziej antykomunistyczna, lub też najbardziej pesymistyczna. Byli to przedstawiciele literatury klasowej, skierowanej przeciwko ludowi.

W tym roku było nieco inaczej. Nagroda „Femina” przyznana została powieściopisarce Zoë Oldenburg za książkę, która nie ma w sobie nic aktualnego — jest to historia, która dzieje się w okresie średniowiecza — lecz książka ta jest uczciwa. A przede wszystkim znamienita. A przede wszystkim Zoë Oldenburg był pisarz znany ze swych antykomunistycznych napaści.

Nagroda im. Théophraste Renaudot została niestety i tym razem zmarnowana, gdyż przyznano ją Celi Bertin za powieść karykaturalnie wprost romantyczną, bez wartości i bez sensu.

Lecz nagroda Goncourtów wynagrodziła nam wszystko. Otrzymał ją Pierre Gascar za powieść zupełnie pozbawioną romantyzmu, w której piętnuje on bestialstwo hitlerowców. Jest to znak czasu, że pisarz, którego znaliśmy dotychczas jako dziennikarza — był on pod nazwiskiem de Fournier współpracownikiem „France-Soir” — na-

piisał tę książkę i że odznaczyło ją jury nagrody Goncourtów.

Treść tej powieści pod tytułem „Les Temps des Morts” (Czasy Umarłych) jest bardzo prosta. Autor opowiada o swym pobycie w hitlerowskim obozie koncentracyjnym. Należał tam do niewielkiej grupy więźniów, którym powierzono utrzymywanie w porządku obozowego cmentarza. Ponieważ z początku mało jest zmarłych, spędzają czas na pielęgnowaniu grobów, zamieniając cmentarz w ogród. Uda się im się uprawomocnić istnienie tej specjalnej ekipy i prowadzą na cmentarzu życie uregulowane... „To życie uregulowane, które widzimy na starych obrazach, a częściej jeszcze na starych tkaninach, na starych mozaikach. Człowiek siedzi obok kwiatu anemону; inny ścina trawę sierpem itd...” To życie tak straszliwie absurdałne, na które skazały ich rządy hitlerowców, zostaje nagle zburzone. Pewnego dnia kopiące rwy dla odprowadzenia wody deszczowej, odgrzebiują zwłoki. Nie są to zwłoki ludzi zmarłych śmiercią naturalną. Są to byle jak zakopane zmasakrowane trupy z kostnicy. „Grabarze — pisze Pierre Gascar — byliśmy jak grabarze ogarnięci szaleem”.

W obozie są Żydzi, których traktuje się, jakby nie byli ludźmi. A poza tym w bezsenne noce więźniowie słyszą nadjeżdżające pociągi. Nieznaczący dotychczas na tej linii kolejowej ruch pociągów nagle się wymaga. Pociągi przejeżdżają bez sygnałów, pełne krzyków i wołania o pomoc. Widać je do brzo z cmentarza, nawet we dnie. Słychać płacze i krzyki. Pociągi składają się z około dwudziestu wagonów towarowych. Na początku i na końcu znajdują się wagony osobowe. W otwartych oknach tych wagonów widać palących cygar Niemców w mundurach. „Reszta pociągów” pionoła. Wśród ciżmy krzyki przypominały swą prężnością plomien wybuchający w upalny dzień letni. Nie mogłem zrozumieć, co krzyczeli ci mężczy-

źni, kobiety i dzieci, stłoczeni w zamkniętych towarowych wagonach. Nie było już słów w tym wołaniu.”

Więźniowie pracujący na cmentarzu rozumieją wreszcie wszystko, całą potworność tego, co się dzieje. Ale na tym koniec. Nie starają się uciec do partyzantów. Tak samo, jak nie przyłączają się do partyzantów ci żołnierze niemieccy, którzy również potępiają te zbrodnie. I to nie może nas w pełni zadowolić. Lecz najważniejszą dziś rzeczą jest nie to, aby być doskonale. Nie żądamy, aby wszyscy, którzy przeciwni są Europejskiej Wspólnocie Obronnej myśleli pod każdym względem tak samo, jak my. Ważne jest to, że w odpowiedniej chwili piętnują oni zbrodnie hitlerowskie.

Pierre Gascar zrobił to rozmyślnie. On sam nam to powiedział w wywiadzie udzielonym przedstawicielowi „Lettres Françaises”.

„Jestem szczęśliwy, że te wspomnienia pojawiły się w tej właśnie chwili, gdyż zdaje mi się, że bardziej niż kiedykolwiek należy przypominać wielu ludzi, którzy mają skłonność do zapomnienia, o tym, co działo się dziesięć lat temu”.

Oznacza to, że Pierre Gascar walczy po naszej stronie przeciwko remilitaryzacji Niemiec Zachodnich, do której dąży Waszyngton. Możemy być z tego tylko bardzo radowi i cieszyć się, że nagroda Goncourtów została słusznie przyznana.

*

Lecz w obecnym sezonie literackim pojawiły się jeszcze inne książki, zasługujące na zainteresowanie szerokiej publiczności. Są to: „Les Triomphants” (Zwycięzcy) Paul Tillarda i „Le Commandant Marceau” (Komendant Marceau) Jean Laffitte’a. Dwie powieści poświęcone zbrodni hitlerowskiej i opiewające jednocześnie odwagę patriotów francuskich.

Powieść Paul Tillarda to historia ostatnich tygodni nazistowskiego

obozu koncentracyjnego. Ruch oporu działający na terenie obozu czyni cuda, aby uratować najlepszych spośród deportowanych i przystępuje do rozprawiania się z katami. Atmosfera kosmaru, a jednocześnie wspaniałego bohaterstwa czyni z książki Tillarda jeden z najlepszych utworów o życiu w obozach hitlerowskich.

Autor potrafił z zaskakującą siłą oddawać wściekłość wysokich funkcjonariuszy hitlerowskich, którzy uświadamiają sobie nagle swą bezsilność i swe osamotnienie.

Jeszcze rok temu wielu ludzi powieściłoby: znowu obozy! Lecz od tej pory obozy nabrały aktualności. Od roku cała Francja przekonała się, jak to Waszyngton wskazuje potencjał wojenny gotowych do odwetu Niemiec Zachodnich. W ciągu tego roku zwolniono z więzień zbyt wielu przestępców wojennych, a kanclerz Adenauer pokazał swe prawdziwe oblicze: spakobiercy polityki Bismarcka i Hitlera.

„Le Commandant Marceau” jest powieścią o francuskim ruchu oporu w departamencie Dordogne. Jean Laffitte maluje w niej bohaterstwo ludu francuskiego w walce przeciwko najęzdom hitlerowskim. Przenosi on nas w czasy wspaniałej odwagi. Pokazuje nam tak jak Paul Tillard, jak Pierre Gascar, potworne okrucieństwa tych, którzy chcieli siłą zdobyć panowanie nad światem.

Powieść ta oddaje z wielką prawdą koloryt lokalny. Jego chłopaki są tacy, jakich dobrze znamy, kochający życie i pragnący żyć. Podobieństwo treści tych trzech książek — odznaczonej nagrodą Goncourtów powieści Pierre Gascara, współpracownika dziennika burżuazyjnego i książek dwóch pisarzy komunistów, Jean Laffitte’a i Paul Tillarda — świadczy o zachodzącej obecnie we Francji zmianie układu politycznego.

Jest to znak, że narodził się nowy ruch oporu.

Claude Morgan

Niedawno zdarzyło mi się dostać w antykwarni książkę *Życie i praca pisarza polskiego* *) Znalazłam tam cytata z mego zaginionego i całkowicie puzzonego w niepamięć artykułu, pisanego w roku 1928.

„Wszystkie pisarze zarabują dziś dziennikarstwem, lekcjami lub nawet pracą biurową. Krytycy zaś są przeważnie adwokatami. Używa się do tych zajęć tego samego najcienniejszego narzędzia, którym się tworzy, robi się po prostu swoim talentem. A przynosi to jednak taką ulgę życiową, takie wytchnienie po troskach, że Przybyszewski (można to powiedzieć, bo umarł) za najszczęśliwszy okres życia uważał czas, gdy miał posadę na poczcie.”

Pisarze zarabujący poza literaturą piszą nie tylko mniej książek, niżby mogli pisać. Piszą je gorzej. Piszą je pod mniejszym ciśnieniem konieczności twórczej i zarazem wkładają w nie mniej pracy. A z pamiętników Stendhala i Hebbela, z listów Flauberta wiemy, jakiego ogromu pracy poza talentem wymaga dobra literatura.”

A w roku 1945 wypisywałam jeszcze takie herezje:

„Wiadomo, że proza powieściowa powinna być wyłącznie realistyczna i dostępna. Powinna ponadto być związana z rzeczywistością, wynikać z nurtu życia współczesnego i stanowić jego artystyczny wyraz.”

Na samym tedy progu nowej wolnej twórczości literaturze stawia się zadania, krępujące od nowa jej tak dotkliwie dotąd hamowany rozrost i ograniczające zakres jej możliwości odmian. Dlaczego? By nie stała się niedostępną dla nowych czytelników i przynosiła pożytek społeczeństwu.

Ujawniona przez postulat pierwszego obawa wydaje się niedelikatna, zdradza bowiem znowuzaś nieufność do wykształconych w nowoczesnej szkole świeżych warstw czytelników robotniczych i chłopskich. Jest też niczym nie umotywowana, opiera się na przesadzie, że robotnik i chłop zawsze pozostaną kimś o odrębnej wrażliwości, kimś niepełnowartościowym, jako odbiorca sztuki.

A przecież wiemy, że zreformowane szkolnictwo ma na celu to właśnie, by już pierwszej generacji nowoczesnego robotnika i chłopca udostępnić naukę i literaturę w ogóle, nie specjalnie ad u sum Delphini dla nich spreparowaną. Że da każdemu z nich co więcej przywilej elementarny wolnego wyboru między literaturą, która rodzajowi jego zainteresowań odpowiada, a taką, która tych zainteresowań nie budzi. Podobnie jak każdy z nich, zapoznawszy się z różnymi gałęziami nauk w zakresie szkoły, jedną z nich będzie mógł obrać za przedmiot specjalizacji lub wyższych studiów, dla innych zachowując obojętność. Właśnie wolność wyboru jest tą najbardziej ludzką zdobyczą, najcenniejszym przywilejem samodzielnosci, której dotąd pozbawiony chłop i robotnik, skazany był na „wyjatkę”, popularyzację, literaturę „ludową”, twórczość „radosną” i „krzepiącą”.

Troska o adaptowanie całej nowej twórczości do przypuszczalnego niedorozwoju tej pierwszej generacji, którą reforma szkolnictwa na ogólny poziom kultury wywyższanie, dowodzi niczym nie uzasadnionej niewiarą w zdolności i talenty, zamagazyonowane w tej warstwie, przy innych sposobnościach uważanej przecież za „rezerwat sił żywotnych narodu”.

Wystarczy przypomnieć sobie, ilu mamy uczonych i pisarzy pochodzenia robotniczego i chłopskiego w pierwszej generacji, nie mówiąc o miłośnikach książek i sztuki w tej samej warstwie. Rzeczka znamienita jest, że pisarze pochodzący z ludu dają nam wysokie gatunki prozy. Nic więc nie uprawnia nas do mniemania, że w niedalekiej przyszłości nie znajdziemy wśród chłopów i robotników zastępu chłonných i co najważniejsze zróżnicowanych w swej wrażliwości czytelników.

*

Nie idę tak daleko, by sądzić, że literatura pożyteczna znaczy to samo, co literatura zła. Uważam, że może być dobra. Co więcej, wydaje mi się, że tylko dobra jest pożyteczna.

Alle oczekując po niej doraźnej pożyteczności praktycznej całkowicie jej nie doceniamy. Jej społeczna przydatność ma często inny zasięg, niż to możemy przewidzieć. Nauka nie przerywa swych eksperymentów z chwilą, gdy drugi ich zdąży się zbacać od linii bezpośrednich utylitarnych wskazań. Elektryczność długo była lukusowym przedmiotem badań bezinteresownych, rad — przypadkowym odkryciem na marginesie innych poszukiwań. Wykwnity żart filozoficznych powiastek Woltera dawał się bawić dość niewinnie dobre towarzystwo, zanim doprowadził do Kultu Rozumu w katolickich świątyniach Francji. Ze *Słownika Filozoficznego* widać też, jak głęboko Wolter był zgorszony wiadomością o warszawskim zamachu na Stanisława Augusta. Nie przeszkodziło mu to przecież stać się bezwiednym ośmiertnym inspiratorem wyroku na Ludwika Kapeta.

Zofia Nałkowska

*) Wydawnictwo Instytutu Gospodarstwa Społecznego, 1932 r.



LEON KRUCZKOWSKI

Nad grobem Juliana Tuwima

Jeszcze nie tak dawno, dziesięć dni temu, mówiłeś nam, Julianie, o swoich pracach, zamierzonych na najbliższą przyszłość, wymieniałeś ponad pół tuzina nowych książek, gotowych, albo będących w przygotowaniu do druku. A oprócz tych, które zapowiadałeś, ileż niespodzianek kryła w sobie ruchliwość Twoich myśli, wciąż za nowo rozgrzewające się ognie Twojego poetyckiego warsztatu! Taki bowiem jest los ludzi prawdziwie twórczych, że nie masz granicy dla ich zamierzeń i planów — ze, choćby żyli najdłużej, zawsze odejdą do pieśni niedokończonych, pomysłów nieuformowanych, zdarzeń, które miały się dopiero zdarzyć. Choćby żyli najdłużej — zawsze odejdą za wcześnie!

Tak, Julianie, w księdze twórczego życia nie ma ostatniej strony, zamkniętej słowem „koniec”, jak zimną pieczęcią. Nie ma jej — i nie mogło być — w dziele twórczego życia takiego jak Twoje: pełnego pasji, pełnego poszukiwań i nieustraszonej ruchliwości myśli. To one kałały Ci niegdyś gniewną ironią piętnować lichotę i małość starego społeczeństwa, to one pozwoliły Ci dojrzeć trud, wielkość i formującą się w walce piękno nowego. To one ogromem codziennej pracy kałały trudzić się Twojej niewyczerpanej miłości do naszej mowy ojczystej, z której uczyniłeś oręż przeciw ciemnocie, pospolitości i krzywdzie — oraz struny napięte do pieśni sławiącej radość, szlachetność i godność człowieka.

Jakże Cię żegnać, Julianie, gdy tyle zadań przed nami, dużych i niecierpliwych, tyle potrzeb do zaspokojenia? Jakże Cię żegnać z myślą o tylu niedokończonych pracach, niedopisanych książkach, niesformowanych wierszach? Któż Cię zastąpi w odkrywaniu mniej znanych bogactw naszego narodowego piśmiennictwa — i w świętym przyswajaniu naszemu językowi wielkich skarbow kultury bratnich narodów?

Chcemy Ci przyrzec, że tę bolesną lukę, jaką Twój zgon wyrzywa w naszych szeregach, wypełnimy jeszcze większą miłością do tego, co Ty umiłowałeś tak żarliwie — i jeszcze większą troską o to, co było ukochanym celem Twoich trosk: o piękno, siłę i sprawność polskiego słowa, o wierność piarskiej służby dla narodu i ludzkości, o zwycięskie rozpraszanie mroków — o spełnianie się wielkiej historycznej nadziei, rozpalonej dziś w sercach wyzwolonych i wyzwalających się ludów...

To, co stworzyłeś, Julianie, żyje dalej, jak żyje tętniąca pracą ojczyzna. To, co stworzyłeś, żyje dalej, rozgrzewa ludzkie zapaly i gasi ludzkie pragnienia: wieczny płomień u wiecznego źródła.

Leon Kruczkowski

ANATOL STERN

Na śmierć poety

Splewały w twym listowniu ptaki czarodziejskie,
O twarzach młodych kobiet. (Pokłoń się tym śpiewom).
Owoce słów zrywały z ciebie dzieci wiejskie,
Zbierały je, jak morwy, dzieciaki podmiejskie —
Czemuś przestało szumić, czarodziejskie drzewo?

Szumiała twoja fala śpiewem rusalczanym.
Śpiew szedł za wędrowcem i przez życie wiodł go.
Ten śpiew wznosił domy w mieście rozoranym,
Tym śpiewem szumiał zagłęb nad nurtem wiślanym —
Czemuż dziś zamilkło, rozśpiewane źródło?

Gdy skraść chciała noc czarna (wspomnienia zabierzcie!)
Dom ojczysty, jedyny na całej planecie —
On przychodził do ciebie, błędząc po tym mieście,
Mówił burzą, świtami, i szeptem niewieściom,
I gdyś zwątpił we wszystko — wierzyłeś poecie.

I szła w noc, wśród sere drżenia, nadzieja zwycięska.

Gdy lud dźwigał twą trumnę, wążutką, jodłową,
(Ach, jakąż była lekka, jaka była ciężka!)
Wicher słów rozszlochanych wyl nad naszą głową:
To twe słowa-sieroty płakały za tobą.

Znowu nas zwyciężyłeś! Okropne zwycięstwo.
Płynęła ludzka rzeka świetlista trumienka,
Nagie drzewa obsiadły dziwne ptaki gęsto —
Chłopięta wystraszone, milczące... Przyjdź, męstwo,
Bo serce... Nie. To tylko lod na Wiele pęka.

Już nie załśni orla głowa srebrzysta siwizna,
Nerwową, suchą dłońią już nie wespierasz głowy...
Lecz plonie, bije, żyje serce poetowe,
I szumisz, czarodziejskie drzewo, nad Ojczyzną,
I śpiewasz, czarnoksiężskie źródło naszej mowy!

ADAM WAŻYK

Pierwsza rozmowa

Jak go nazwiecie w księdze poetów? Tuwim czyli świeżość słowa. A z czym porównacie jego pierwsze wiersze, które były jak nagłe otwarcie drzwi?... Przez te drzwi wychodziło się z ciemności na świat. Kim był Tuwim dla ówczesnych czytelników, dla całej generacji debiutujących poetów, kim pozostał w naszej pamięci? Niech i ta garsteczka wspomnień osobistych coś o tym powie. Powie krótką niewielką, ułomną, tylko kruszynkę prawdy, bo pióro drży jeszcze w palcach. Pierwsze zetknięcia młodocianego czytelnika z wierszami Tuwima, pierwszy widok poety z daleka, potem pierwsza rozmowa z Julianem...

Czytałem wiersze Tuwima jeszcze w czasopiśmie studenckim „Pro arte et studio”. W kołach świeżo narodzonej nowej studenterii, między sztabakami kończącymi gimnazja — wrzało i huczało. Starsi pytali, czy to w ogóle poezja, czy po prostu impertynencja. Jak śmiesznie brzmiały te pytania już po kilku miesiącach! Wiersze jak gromy uderzały w zatekłą ciemność młodopolską, prąd świeżego powietrza, nie prąd, ale wiatr szeroki wymiatał symbolistyczne rupiecie. Ludzie postrzucali szaty i zaczęli chodzić w zwyczajnych ubraniach, przestali sygnalizować, odtąd spali i chorowali po prostu w łóżku, a nędzarz bez łoża — na ziemi. Świat rzeczywisty wszedł do poezji — prawdziwie cierpienia, radości i smutku. Czytelnicy przecierali oczy: stała się rzecz niedziwna. Zaskoczeni krytycy, enclécie ramole, reakcyjne staroduchy, wzniosłe eunuchy, wszystko to ujadło, Tuwim im odpowiadał:

— A w maju
Zwykłem jeździć, szanowni

panowie,
Na przedniej platformie

tramwaju!
To już była straszliwa impertynencja. Za młody na to, za mały, aby wtrącać się do zajadłych dyskusji starszych sztabaków, czytałem, słuchałem, no i polubiłem przednią platformę tramwaju. Jeszcze nie nazywano jej wtedy pomostem. Fraza Tuwima przylgnęła do mnie jak do tysiąca innych czytelników. Radość życia! Formuła radości zapadła w pamięć i ciągle wraca w najlepszych chwilach życia. A jak trudno jest formułować radość, wiedząc o tym poeci.

Pierwszy raz zobaczyłem Tuwima w sali Towarzystwa Higienicznego na Karowej. Sala była nabita. Stał na podium, głowa nieco podniesiona, nieco przechylona, głos melodyjny zataczał gniewne łuki w powietrzu. Po przeszło trzydziestu latach powtarzam z pamięci i słyszę jeszcze intonację Juliana.

Wznosisie nowy Babilon,
A rządził planem budowy

Bies: bratobójca, idiota,
Stinnes tysiącpudowy!

Wyznałem, że bardziej uderzało mnie wtedy zestawienie słów niż sens tego gniewu. Ale czy można posiadać w czytelniku choćby ziarenko sprawiedliwej nienawiści do Stinnesów bez tej dojrzałej sztuki zestawiania słów? On o tym wiedział najlepiej. Wielki odnowiciel tej sztuki, doprowadzał ją do magli. Szukał jej antenatów. W tym czasie odkrycia szły okólnymi drogami. Z początku odkrywało się Rimbauda, a potem, potem...

To pierwsze odkrycie, kiedy Tuwim głosił je na ulicy Karowej w sali, która na krótki czas zaszumiła poezją, było mi swojskie. Drugim, dziwniejszym odkryciem podzielił się ze mną prywatnie, kiedy pierwszy raz przyszedłem do Tuwima — siedemnastoletni szczeniak, pasowany przez niego na poetę. „Kto nie przejdzie przez Rimbauda, nie będzie poetą” — ośmieliłem się powiedzieć mu ten truizm, to porozumiewawcze hasło wtajemniczonych. Wtedy pochylił się jak do zwierzenia i powiedział poufnie: „A wie pan, wczoraj w nocy czytałem Mickiewicza. Co za poeta!” Nie wiem, czy bez komentarza to „odkrycie” będzie dziś zrozumiałe. Co za poeta! — wbrew zataczanym profesorom. I szło o coś jeszcze — o pasję i ciężar słowa w poezji.

Był to mój dzień przełomowy, dzień oszalałający. W pierwszych latach „Skamandra” Tuwim prowadził rubrykę odpowiedzi od Redakcji, nęcącą i groźną. Wóz albo przewóz. Orzeł czy reszka? Trzeba się było zdobyć na odwagę, ale łatwiej było posłać swoje próby, niż potem, na zaproszenie, „złosić się osobście” do tego, który chodził „jak sędzia, jak prorok, po twarzym miejskim asfalcie”. Mieszkał na Chłodnej. Długo musiałem uciszać niedorzeczne walenie serca, zanim ośmieliłem się zadzwonić do jego mieszkania. Sam mi otworzył drzwi; położył palec na ustach: „żona śpi!” — była piąta po południu. Dwugodzinna, prawie szeptana rozmowa w gabinecie, dziesięć tematów — dla mnie sto refleksji. Próbując wyprowadzić mnie z uśmieszmielenia, Julian przez kilka chwil zabawiał się w figlarnego hipnotyzera. Nie pamiętam, jak doszło do tego, że „W maju na przedniej platformie” Julian się zerwał — krążył po pokoiu. W szybkich zmianach tonacji nagle napiał się gniew znany mi dobrze z sali na Karowej.

— Ci krytycy, ci panowie, strażnicy kultury polskiej!

Był już przy oknie. Palcem na ukos wymierzył w tę stronę, gdzie leżała Wola.

— Wola nie powiedziała jeszcze swojego słowa. Wola nie wysłała jeszcze na ulce, ale wyjdźcie! Wola pokaże, jaka ma być prawdziwa Polska.

Zdaje się, że wiernie powtarzam te słowa. Dziwiły mnie wtedy i chociaż dobrze je zapamiętałem, inne wydawały mi się ważniejsze. A przecież to właśnie było najważniejsze. To było na dnie radoznego wiersza o majowym tramwaju.

Dziś prawda o poetach stała się jaśniejsza, chociaż jej jeszcze nie zgryziono do końca, nie wymierzono do dna. Rozumiemy dzisiaj, skąd powiały prądy świeżego powietrza, ciekawość życia i świata, i ten przewrót stylu poetyckiego, który przywracał godność, siłę i piękno słowom wzgardzonym przez estetów. W latach międzywojennych Tuwim nie był poetą rewolucyjnym, nie było w jego wierszach świadomości rewolucyjnej. Ale krąg promieniowania Rewolucji Październikowej był szeroki, sięgał bardzo daleko, a głos komunistów polskich, tłumiony w podziemiach, raz po raz budził sumienia pisarzy, którym bliska była dola prostego człowieka. W tym szerokim kręgu promieniowania, w tym niepokoju sumienia rodziło się wszystko co trwałe, co wchłaniało w siebie osad prawdziwego życia. Poezja Tuwima, tak czuła na przejawy życia, była jak nerwowa igła magnesująca podskokiem prądem rewolucyjnych dążeń.

Prawda stała się jaśniejsza, i przejaśniają się wspomnienia, i wielki ból po tej stracie.

Adam Ważyk

JAN KOTT

Poeta naszej młodości

Był poetą całej naszej młodości. Nigdy nie zapomina się wiersza, który po raz pierwszy w życiu przeczytało się jak wiersz. Dla wielu tysięcy młodych chłopców i młodych dziewcząt z pierwszych kilkunastu roczników XX wieku wiersz Tuwima — to był ich pierwszy wiersz w życiu: wiersz, który przeczytali jak wiersz i wiersz, który napisali sami „pod Tuwima”.

Dla starszych ode mnie tym pierwszym w życiu tomem wierszy był *Sokrates tańczący*, dla młodszych *Tręśń gorączką*, dla mnie i moich rówieśników pierwszym tomem wierszy z wyboru była *Biblia cygańska*. Od tego tomu zaczęło się wszystko: zaszczepienie poezją, i lektury po nocach, pierwsze rymy i pragnienie sławy. To była nasza poezja, którą z całą furją młodzieńczego zapamiętania przeciwstawialiśmy tej pasji, której uczono nas w szkole. Bo nieprawda, że potrzebę poezji rozbudzały choćby największe klasyki. Początkiem zawsze jest wiersz współczesny, który pierwszy nazwie młody niepokój, który sygnalizuje nienawiść, młody bunt i młody potrzebę zachwytu.

„W strasznych mieszkaniach... straszni mieszczanie” — to były pierwsze słowa mojego własnego buntu, „Rznię karabinem w bruk ulicy” — to był pierwszy upust nienawiści; „Miłość mi dała, młodość górna, dar ładu i wysokie żądze” — to był obraz i wzór poety. W przekładzie Tuwima przeczytałem pierwszy wiersz Rimbauda i pierwszy wiersz Puszkina. Tuwim prowadził nas na wielkie obszary poezji. Tak długo wiersze jego przeciwstawialiśmy starym mistrzom, aż póki sam nie zaprowadził nas do klasyków i ożywił jak dotknięciem różdżki cza-

rodziejską zapomnianą wiersze martwych dla nas poetów.

Był dla mojego pokolenia objawieniem żywiołu liryki. Ale Tuwim to były nie tylko wiersze, to był także on sam. Marzyło się, aby zobaczyć Tuwima, aby go poznać, aby mu przeczytać własny wiersz. I nie zapomnę, jak mi głos uwiązł w gardle, kiedy po raz pierwszy pozwolił mi przyjść do siebie. I to wzruszenie było za każdym razem równie żywe, aż do ostatnich lat, do ostatniego spotkania.

Był dla nas wszystkich ucieleśnieniem poezji; żywym, obecnym, dotykającym. Był gorący i lotny jak płomień, czuły i czujny, gniewny i sztycherzy, ścisły i żarliwy, zawsze obecny i zawsze nieuchwytny. Był takim jak jego wiersze; żył nie obok nich, nie poza nimi; zrosł się z własną twórczością jak nikt ze współczesnych.

Nie mogę sobie wyobrazić własnej młodości bez Tuwima. Byłaby inna nie tylko moja młodość. Nas wszystkich. Tuwim — to część naszych własnych wzruszeń i zachwytów, dojrzwiania i dorastania, kawał własnego życia każdego z nas. Czymże innym jest wielkość poety!

Jego obecność wśród nas była tak naturalna, jego powrót do Ludowego Ojczyzny tak radosny i oczywisty, że długo nie zdawaliśmy sobie sprawy, że żył nie tylko razem z nami, ale w nas samych. Że to, co było naszym najbardziej osobistym wzruszeniem, jest wielką historią literatury.

Historia jest pamięcią żywych. Ale ponad pamięć żywych jest jeszcze pamięć mowy ojczystej. I w niej Julian Tuwim żyć będzie zawsze.

Jan Kott

Ze wspomnień

(Dokończenie ze str. 1)

zwolił na słuchanie naszych wierszy; odczuwali oni zapewne jako jeszcze jeden dreszcz „estetyczny”, takie rewolucyjne utwory jak „Carmagnola” Słonimskiego czy antypurka diatriba Tuwima! Nawiązanie myśliśmy się w adresie.

Pierwszego wieczora nie pamiętam co czytał Tuwim obok własnego antypurkiego poematu. Chyba już „Sokratesa tańczącego”, którego wtedy właśnie napisał. W drugiej części wieczoru, części satyrycznej szaleli Słonimski i Lechoń, a zwłaszcza dwaj malarze. Witkowski opowiadał w sposób przezbawiony o otwarciu „pompierskiego” salonu jesiennego w Zachęcie; na ogół jednak tych wywieczek satyrycznych nie rozumiałem, pełne one były bowiem wszelakich czysto warszawskich aluzji i ploteczek, obcych mi najzupełniej, i nazwisk, które mi nie jeszcze nie mówiły.

W tej części satyrycznej Tuwim czytał swój cykl parodii na temat „Andriu, nie rusz tego kwiatka!” Bardzo mi się podobał ich dowcip i znakomite podrabianie stylu najrozmaitszych pisarzy. Parodie te cieszyły się wielkim powodzeniem.

Po pierwszym wieczorze „Pod Piccadorem” wszyscy występujący poszli do „Turka” — małej restauracyjki na piętorku, położonej po przeciwnej stronie Nowego Świata. Ja jednak, czy to powodowany nieśmiałością, czy też bojąc się zbyt późno powracać do arystokratycznej siedziby, w której mieszkalem, uciekłem do domu. Nazajutrz otrzymałem czuły liścik od Julka — jeszcze na pan — z zapytaniem, dlaczego z nimi nie poszedłem i z prośbą, abym już dzisiaj podzielił z nimi ową filiżankę kawy po tuarecku, która stała się z biegiem czasu sakramentalnym zakończeniem wieczorów „Pod Piccadorem”. Serdeczność i dobroć Tuwima bardzo mnie ujęły. Od tych wieczorów u „Turka” zaczęła się nasza prawdziwa przyjaźń.

III

Już wówczas ze wzmianek kolegów, a zresztą i z samych wierszy, które Tuwim czytywał przyjacielom u „Turka”, wywnioskować można było, że „Tuwim jest zakochany” — jak się u nas mówiło. Okazało się, że nie tylko jest zakochany, ale że w bardzo predkim czasie żeni się. W parę miesięcy po otwarciu „Picadora” — który tymczasem zdążył się już przenieść do podziemi „Hotelu Europejskiego”, a potem i całkiem zamknął swoje podwoje — odbył się ślub Tuwima w Łodzi. Było to już na początku 1919 roku.

Po powrocie do Warszawy z młodszą żoną, Tuwim urządził dla nas, pikadorczyków, kolację „wesełną”. Jeszcześmy wtedy nie chadzali do wielkich restauracji i wiadomośc o tym, że jeden z nas był na kolacji w „Bristolu”, wywoływała powszechne zgorszenie. Wesełna kolacja Tuwima odbyła się w tak zwanej „Mordowni”. Była to mała, krapka położona na samym początku ulicy Siennej, tuż przy Marszałkowskiej. Nakryto dla nas stoł w niedużym gabinecie, położonym w głębi tej skromnej restauracyjki.

Było nam tam ciasno, ale bardzo wesoło. Atrakcją tego wieczoru była nie tylko niezwykle frapująca uroda panny młodej, ale także obecność na kolacji Leopolda Staffa. To dopiero była sensacja!

Wszystkimi — oprócz jednego może Słonimskiego — otaczali lwowskiego poetę niezwykłą miłością i szacunkiem. Nie pamiętam, czy Staff już wtedy był na stałe w Warszawie, czy też znajdował się chwilowo w stolicy — dość, że go Julek namówił czy uprosił, aby spędził ten wieczór z nami. Staff chyba bez trudności zgodził się na to — zawsze był ciekawy nowych poetów, a chyba nie było mu przykrym to, że otaczaliśmy go naszym szczerem uwielbieniem. Odpłacił nam za nie wielką serdecznością.

Julek był tego wieczoru promienny, jak może nigdy go potem nie widziałem. Po siedmiu latach zakochania — nie popelniam tu żadnej niedyskrecji — wszak przynależał się do nich w swoich wierszach i nawet jeden z tomów swoich zatytułował „Siódma Jesień”, co się wyklada „siódma jesień zakochania” — przedstawiał nam swoją małżonkę. Był szczęśliwy: siedział przy jednym stole z żoną i z najmilszym sobie nauczycielem. O stosunku swoim do Staffa mówił nam niejednokrotnie i znamy zarówno pierwotną korespondencję obu poetów jak i dzieje wizyty młodzieńczego Tuwima u wielkiego poety w Rudzie Malenieckiej.

Staff też był bardzo miły i serdeczny, a na domiar szczęścia pił z nami wszystkimi bruderszafty — co się w ogóle nie chciało nam w głowie pomicieć. Nie był to bruderszaft formalny. Po tej weselej kolacji nie widziałem Staffa z dzieści lat, a gdy go spotkałem wreszcie, natychmiast zaczął mówić do mnie „per ty”. Pamiętał dobrze o tym bruderszaftie.

Pamiętam także Tuwima w towarzystwie innego wielkiego pisarza, Stefana Żeromskiego. Żeromski po przeniesieniu się do Warszawy przychodził powszechnym zwyczajem literatów w południe do kawiarni Ziemiańskiej (Julek nazywał ją w swoich listach „ziemieledzielczeską konditerską”) — i przysiadł się do naszego stolika. Jeszcze wtedy nie byliśmy „skamandrytami” i Ziemiańska nie była rozbudowana, nie było jeszcze

schodów na górę i słynnego stolika „na piętorku”, a właściwie mówiąc na „półpiętorku”, gdzie się wdywalo Bona, Tuwima, i innych „skamandrow” już w okresie ich „sławy”. W dawnej Ziemiańskiej stał w głębi duży, okragły marmurowy stół, gdzie niejako zwyczajowo siadywaliśmy. Tam też przysiadł się do nas pan Stefan. Pamiętałem jak raz opowiadał nam — Tuwimowi i mnie — historię, którą teraz odnalazłem w jego dziennikach, jak przepływał się kiedyś konni przez łód wraz ze swoimi arystokratycznymi pryncypałami, jak łód się załamał i jak jakiś chłop przenosił go na rękę przez wozbraną rzekę. Tuwim miał dla Żeromskiego również wielki kult — podobnie jak dla Staffa; stosunek ten jednak nigdy nie przerodził się w taką przyjaźń, jaka go z autorem „Śnów o Potęgce” do końca życia łączyła. Z tego kultu, z tej miłości urodził się ten wstrząsający, napisany na śmierć Żeromskiego, wiersz o drzewie, który nam z okazji śmierci samego Tuwima przypomniało...

IV

We wszystkich moich wspomnieniach występuje Tuwim jako ów słoneczny, jasny człowiek, chociaż był znękanym chorobami fizycznymi, moralnie zaś tym całym złem niedobrego świata, w jakim musiał żyć przed wojną, — a gdzie na każdym kroku urażały go złość i głupota młodych, i nędza i upośledzenie owych „maleńkich” ludzi, których tak ukochał. Mimo to zawsze go widzę w promiennej aureoli miłości do ludzi, tak dla niego charakterystycznej, stanowiącej najgłębszą treść jego istoty i jego poezji — a przecież poezja Tuwima i Tuwim jako człowiek zawsze stanowili jedną całość, byli i są nierozłączni.

Nie wyróżnienie go pociągało — że jeszcze raz zacytuje artykuł Horzycy — „ale to, aby być, jak wszyscy, jednej krwi i jednego uczuć z morzem ludzkich istnień. Nie chodziło mu o to, aby jaśnieć, ale aby być ukrytym, jak ukryte jest w ciebie serce człowiecze...”

Poezja jego była ukryta w prawdziwie dzisiejszych czasach, jak serce i była tam wiernie z rytmem zdarzeń. Uderzenia tego serca nie zamrą nigdy.

Jaroslav Iwaszkiewicz

HENRYK GAWORSKI

Rana serca

Skąd tyle żalu po nim,
boleści tyle? —
Ten sam nas spala płomień
w ludzkich dróg pył.

Miłość nam uboło,
szkoda jej, szkoda.
A potrzebna nam miłość
gorąca, mioda.

Nie myślmy o tym, co ciałem
stało się w jego pieśni.
Kto dziś czereśnie białe
tak nam rozwieści? —

Ale najwięcej żal nam
pieśni, co jutro
zakipieć mogła — niepowtarzalna,
wiosenny ukrop.

Plakać się boję —
nie ma tzy mojej
na jego grobie.
Lecz ktoś mi chyba
piasko nasypał
w krwi obieg.

Skamieniał grudzień niemy
n kwiatów stercie.
Wielka jest boleść ziemi
zranionej w serce.

Juliana Tuwima

ANDRZEJ PIWOWARCZYK

Drukowałem Jego wiersze

S pory pokój, pełen książek, około 5000 tomów, na tym tle smukły, ruchliwy, popielato odziany pan, mocno posiwiały. Wycalowaliśmy się, rozpuściłmy taradajki spiesznych zdań, które się wciąż ze sobą zderzały... Bardzo kocham jego poezję. Tedy, z negocjacją, pełną zastrzeżeń, przeczytał mi wspaniały poemat pod tytułem „Bał w operze” — poemat spory, pełen nieprawdopodobnej ekwilibrystyki słownikowej i słowniczey, kapitalnego nurtu społecznego... Druk będzie musiał być prywatny. Konfiskata pewna... Kilka scen z „gliną” i szpicłami — oszalamiające... Jak nam przeskoczyły te trzy godziny, nie wiadomo. Uczyniły to zwinnie i wtedy, gdy nasza uwaga była zaprzęgnięta czymś innym. Czymś co przezwycięża właśnie czas...

*

Tak opisywał swoje odwiedziny u Juliana Tuwima w Warszawie w roku 1937 Emil Zagadłowicz. Otrzymałem jego list do wglądu od autora znanych, a niecenuralnych podówczas fraszek — Mariana Ruzamskiego. Dziwnym trafem list przetrwał wśród innych spargatów — i oto, odczytując go, wspominam tamte, zamierzające dawno, młodzieńcze przeżycia.

Miałem szesnaście czy siedemnaście lat i uczyłem się „fachu” w pewnej drukarni, w Poznaniu, nie zaniebując wcześniejszych, powstałych w czasach gimnazjum zamiłowań. W związku z drukiem jakichś moich wierszy zacząłem korespondować z Ruzamskim; i teraz zainteresowało mnie w otrzymanym liście zdanie, że „Bał w operze” jest nie do druku, że Tuwim zamierza go wydać prywatnie...

„A gdyby tak udało się złożyć ten poemat nielegalnie, w drukarni, w której pracowałem?” — Realizacja pomysłu wydała się całkiem możliwa. I jeszcze tego samego dnia odeszł list ekspresz na adres Ruzamskiego, z prośbą o pośrednictwo... Czekałem niecierpliwie i po kilku dniach odezwał się sam Tuwim.

Był to jeden z najbardziej pamiętnych dni w moim życiu. Tuwim pisał ostrożnie i z zastrzeżeniami. Odrzucał propozycję powierzenia mi „Bału w operze”. Ale przecież pozostawił pewną furtkę. Przez tę furtkę przedostał się inny jego niecenuralny utwór — i tak zawiązała się się między mną, kandydatem na zecera, a wielkim poetą, wruszająca z perspektywy lat współpraca wydawnicza.

Bite osiem godzin nauki w zerni spędzałem na rozstawionych szeroko nogach przy kaszcie. Wtedy, gdy przyszedł list Tuwima — miałem już za sobą sporo doświadczeń. Wyrażały się one między innymi w potajemnym, nielegalnym wydaniu kilku nadających się do konfiskaty utworów poetyckich. Wszystkie one były jednak wartości pośledniej i przemijającej. A „Bał w operze” — to było coś!

Niezrażony odmową Tuwima, korzystając z tego, że napisał „poemat „Bał w operze” nie jest jeszcze skończony, ale moglibyśmy pomyśleć o pewnym wierszydle” — przyzwoliłem się zaraz o to „wierszydło”... I znowu przeszło kilka dni oczekiwania, po czym znowu poczułem się jednym z najszcześniejszych ludzi pod słońcem. Poczta przyniosła mi długi rękopis, na pięknym, kutym papierze mirkowskim.

Utwór był olśniewający. Ośmieliłem się zaproponować pocie druk bibliofilski w pięciu egzemplarzach... Dziwnym trafem, choć tyle rzeczy przepadało — zachował się jeden z listów Juliana Tuwima, w którym poeta pisał: „Sądze, że można wydrukować nieco więcej egzemplarzy, na przykład 25. Poproszę tylko o korektę.” (List ma datę: 13 września 1937 roku).

Zaczęły się burzliwe, pełne odwagi, przetykane także ichorstwem — dni składania. Bacznie, żeby się nie wyspać — składałem od oka ogłoszenia i różne drobne akcydensowe. Wtedy zaś, gdy nikt nie widział, korzystając z tego, że w moim regale znajdował się odpowiedni zapas materiału zecerzkiego — wykradałem z przegródki potrzebne czonki. Montaż następował już w małym pokoiku, w którym przemieszkwałem, w ciągu wieczora. Z poszczególnych czoniek powstawały słowa, a ze słów strofy... Zdaje się, że w ciągu dziesięciu dni skład całej książeczki był gotów... Na samym końcu złożyłem groteskowy tytuł: **Wiersz, w którym autor grzecznie ale stanowczo uprasza liczne zastępy bliźnich...**

Pozostawała najtrudniejsza część zadania — mianowicie: przeniesienie gotowych stron do drukarni i ich odbicie na starej prasie ręcznej. Stosując różne wybiegi zdołałem i tego dokonać... I oto w październiku 1937 roku odeszła do War-

szawy, na ulicę Mazowiecką 7, gdzie mieszkał Julian Tuwim, mała, niepozorna paczuska, z książeczkami, opatrzonymi przypisem: „egzemplarzy prywatnych, niesprzedanych trzydzieści — manu propria atque antiquo modo — odbit czcionką walbaum dnia piętego października...” Pod tym następował mój podpis. Wprawdzie oryginalny, ale trudny do odcyfrowania. Drukarni, rzecz jasna, nie uwidoczniło się...

Taka była historia małej, niepozornej książeczki, za którą poeta podziękował mi później osobiście, zaprosiwszy mnie do Warszawy.

Wśród innych spargatów z dawnych lat pozostał mały, prawie kwadratowy bilecik: „10-go czekam; proszę przedtem zatelefonować 293-52. Zalącam najlepsze życzenia noworoczne. J. T. 31. XII.37.”

Pamiętam, że było to w oficynie na Mazowieckiej, i że drapać się w górę po schodach — czułem ogromną treść. Przecież za chwilę zobaczę Juliana Tuwima, poetę, którego czułem i wielbiłem od chwili, kiedy jeszcze w gimnazjum dotarły do mnie jego wspaniałe, olśniewające wiersze. Z najgłębszym wzruszeniem nacisnąłem guzik dzwonka... Wysoki, siwiejący pan, z myszką na policzku, który wyszedł naprzeciw uśmiechając się serdecznie, to był ON...

Spostrzegł moje zmieszanie — i może to wyda się w tej chwili śmieszne — pochylił się i podniósł mi czapkę, której żadną miarą nie mogłem własnoręcznie ulokować na wieszaku. Zostałem zaproszony do pokoju-biblioteki — i tu odbyła się długa przyjacielska rozmowa o poezji i o typografii. Poeta wiedział więcej o drukarstwie aniżeli ja, który w nim wtedy tkwiłem... Rosła na stoliku, nad którym — nie pamiętam dobrze, ale zdaje się stała palma — stała najprzedziwniejszych druków i druczoków bibliofilskich — i wypełniała się też popielniczka. Tuwim palił „Zefiry” w zielonych pudełkach. Nie byłem jeszcze wtedy palaczem. Ten szczegół — nie wiem czemu zapamiętałem... Tamtego wieczora powstało kilka kapitalnych pomysłów bibliofilskich, z których nie wszystkie, niestety, zostały zrealizowane...

I znowu tak samo serdecznie, jak zostałem wprowadzony do jego mieszkania — poeta wyprowadził mnie na schody.

Czułem się olbrzymio szczęśliwy, ściskając między innymi pod pachą „Biblię cygańską” i „Treść gorzejącą”... Chodząc nieprzypadnie po Warszawie, bo do odejścia pociągu w kierunku Poznania pozostało jeszcze kilka godzin — przystawałem w świetle wystaw sklepowych i czytałem chyba po raz setny wiersz „Do prostego człowieka” i „Wiersze o państwie”. Wstrząsała mną przede wszystkim ich głęboka, ludzka treść społeczna...

Nie żał było zaiste nie zjedzonych obiadów, bo argentyński papier na wydanie pierwszego, nielegalnego wiersza Tuwima finansowałem z własnej kieszeni, i nie żał było zapłać, jaki w tę sprawę włożyłem. To nic, że ics razy trzęsły się pode mną kolana, kiedy wychodziłem z drukarni, z kieszeniami obciążonymi ołowiem, i że drżały mi ręce, kiedy smarowałem pod prasą gotowe do odbicia kolumny... Zaszczę osobistego spotkania z poetą — wynagrodził mi tysiącrotnie wszystkie starania i troski...

*

Wracając wspomnieniem do tamtych czasów, pisząc te słowa położyłem przed sobą tę szarą, niepozorną książeczkę, której zawdzięczam jedno z największych wzruszeń w życiu... Mimo że okładka wypływała już bardzo — książeczka wyglądała tak, jakby wyszła spod pierwszorzędnej maszyny rotacyjnej... Matka, jak zawsze dbała o moje skarpetki, przysłała mi do Poznania szarą przędzę. Przędza poszła w całości na zeszyt tamtego nakładu...

Zaczęła się teraz z kolei żywa, obustronna korespondencja. Byłem w tej korespondencji nazywany „najmilszym z Guttenbergów” i podobnymi epitetami, na które czułem; żem chyba tylko w bardzo małym stopniu zaspokoił...

To była moja duma i to mi pomogło trwać w uporze nauki drukarstwa, pomagało w trudnych, nieraz mozolnych troskach codziennych. Słoneczny, ciepły listy od poety o promieniałej szaryźnie najbardziej ponurych dni...

*

Zanim przyciśnięty w końcu do muru innymi, poważniejszymi drukami musiałem „nawiewać” z drukarni — chodziło wtedy o nalepki kasetemowskie — zdołałem jeszcze podarować wspaniałemu pocie-olbrzymowi — małej wydanie „Słowień”, które nazwał „czarującym” — i jeszcze parę druczoków, które ze wzruszeniem oglądaliśmy obydwa już po wojnie, w miesz-

kaniu Juliana Tuwima przy ulicy Wiejskiej 14 na piątym piętrze...

Poeta, którego wstrząsającą „Modlitwę”, wydrukowaną w małym tomiku poezji, wydanym przez ZPP w Moskwie — czytałem jeszcze w czasie wojny z zaciśniętym gardłem — przyjął mnie jak starego, dobrego znajomego...

„Chmury nad nami rozpał w lunę, uderz nam w serca złotym dzwonem, otwórz nam Polskę, jak piorunem otwierasz niebo zachmurzone...”

Te słowa recytowałem sobie w myślach z przegromnym, dogłębnym wzruszeniem, tak jak wszyscy, którzy doświadczyli piękła okupacji hitlerowskiej w Polsce.

Julian Tuwim, autor „Kwiatów Polskich” — z których wyjęta była ta „Modlitwa” — przypomniał sobie o moim małym, marginesowym istnieniu i patrzył mi w oczy z uśmiechem, a mnie krtał odmawiała posłuszeństwa...

*

Spojrzałem w tej chwili na pierwszą stronę „Trybuny Ludu” z dnia 28 grudnia 1953 roku... Równie 16 lat temu wybierałem się z pierwszą wizytą do Tuwima... Tuwim nie żyje, a ja — przecież mi wolno — przeżyłam i przecieram co chwila oczy... Leżą przede mną jego książki. Oto dedykacje:

„Egzemplarz numer 2. Drogiemu typografatku z wdzięcznością i przyjaźnią — Julian Tuwim”, „Kochanemu... uścisk dłoni, uśmiech i przyjaźń”, wreszcie wśród innych

MARIAN PIECHAŁ

Do Juliana Tuwima

1

Tyś wszedł w ogród poezji
i otworzył wiosnę,
uwolnił ją od pieśni
niewoli i trumien,
uskrzydlił każde słowo,
w słowie każdą zgłoskę,
uśpiewił i ubarwił
zwykłej mowy strumień.

2

Twój wiersz był stukiem maszyn,
dźwięczną deszczu struną,
elektrycznie wzbierającą burzą,
złotym ulem, w którym pszczoły brzęczą:
Tyś był poezji naszej
uśmiechem i zadumą,
żądłem i różą,
błyskawicą i tęczą!

3

Otwierałeś mowie naszej horyzonty
coraz to szersze.
Byłeś natchnieniem wszystkiego, co młode.
Pomnażales każdym swoim wierszem
życia naszego urodę.

4

Za Twe wiersze jak włosenne listki,
pełne światła do ostatniej zgłoski,
Twojej trumnie — pokłon od nas wszystkich!
Twej mogile — kwiaty z całej Polski!

29.XII.1953

GABRIEL KARSKI

Do Juliana Tuwima

Tak żywo nasze pierwsze wspominam spotkanie,
choć to było przed laty z górą już trzydziestu...

Przetrawia we mnie pamięć, drogi mój Julianie,
każdego twego słowa i każdego gestu.

Biła od Ciebie jasność, co serca urzeka;
w tym blasku nasza przyjaźń rozkwitła najczystsza;

garnąłem się do Ciebie: do młodego mistrza

i do bliskiego człowieka.

Przezuwalem twą drogę, wiedziałem, że gloria

two imię wyogromni,

że tak jak niegdyś rówieśni

z zachwytem będą wymawiać je potomni,

i że kiedyś w swój diadem wprawi Cię Historia,

i że kiedyś powiedzieć będziesz mógł: non omnis,

non omnis moriar...

Ale nie przeczuł boleśnie,

że to nastąpi tak wczesnie!

Kochałem Cię i byłem z Ciebie dumny,

myślałem, że tak będzie jeszcze dużo lat...

A oto dziś wspomnienie to jak skromny kwiat

składam u twojej trumny.

I tylko już skroś tkanie

ciechutko, zamiast słów wielu,

szeptem: żegnaj, Julianie,

drogi przyjacielu.

STANISŁAW ZIEMBICKI

Rzecz czarnoleska

Czarnoleska jest Twoja rzecz, czarnoleska,
Jak dębów gwar i zapach lip.
Z najwyższymi drzewami w polskiej ziemi mieszka.
Nie zabierze jej nikt, nie odbierze jej nikt.

Będzie szeptać i huczeć, będzie prosić i wzywać,
Najdroższa jak na skroni matki siwy włos.
Czarnoleska Twa rzecz — polska mowa żywa,
W której słychać Orszuli Kochanowskiej głos.

Czarnoleska jest Twoja rzecz — czarnoleska,
Nie pochwyli jej ogień i nie zmoże śmierć —
Macierzą rozkwitnie przed szkołami w wioskach,
Urodzi ją na nowo robotnicza pieśń.

Ona z nami zostanie. Ocalać nas będzie
Od małości, strzelisty ukazując szczyt.
Do kolyśki przybędzie i u grobu usiedzie.
Nie zabierze jej nikt, nie odbierze jej nikt.

Dzisiaj w rosyjskich brzozech pewno nie szesze
Wiatr, a poetom — braciom braknie słów —
Wspólna jest czarnoleska rzecz. Twe słowa jeszcze
Wróca, spierając się będą i rozmawiać znów...

Czarnoleska jest Twoja rzecz, czarnoleska,
Ona jak burszyna w morzu nie zaginie —
Idą przed trumną Twą dzieci. Niosą dłonie dziecka
Rzecz czarnoleską — Twe imię.

30.XII. 1953

JAN BRZECHWA

Żal bezbrzeżny

B łogosiawiony jest dzień, w którym spotykamy poetę. Nie pamiętałśmy o tym w mozołe codziennego naszego twórczego trudu. Przysta-

liśmy pamiętać, że żył wśród nas wielki Poeta — przez samą jego przystępność i łatwość obcowania z nim. I dlatego dziś, gdy nagle wydarła go śmierć, poczuliśmy — tak jak to bywa po stracie bardzo bliskiego człowieka — bolesny żal, że za mało, za krótko, za rzadko przebywaliśmy w kręgu jego życia, że nie dość skwapliwie korzystaliśmy z praw naszej przyjaźni i że wszystkim to jest już nieodwracalne. Chwytałem tomiki jego wierszy, odświeżałem dalekie wspomnienia, odwarzałem w pamięci jego gesty i uśmiechy, słowa przezeń wypowiedziane, pochwały i nagany — płon wielu spotkań na przestrzeni lat trzydziestu pięciu; tak jak gdybym chciał przy pomocy tych serdecznych, ale nadaremnych wysiłków nawiązać zerwane nici, wskrzesić coś, czego już wskrzesić nie można. I zaczynałem rozumieć, „co znaczy żal bezbrzeżny”.

Pisząc o Tuwimie dziś, kiedy pisać jest najtrudniej, kiedy myśl o barczona żalobą nie chce jeszcze pogodzić się ze smutną prawdą i tylko gubi się w nawale wspomnień, chciałbym przekazać z nich kilka, które w tej właśnie chwili, nie wiedząc czemu, stały się szczególnie wyraziste.

Pewnego dnia, w roku 1918, w domu, w którym podówczas mieszkaliśmy razem z Leśmianem, zjawił się młody człowiek w studenckiej czapce — późniejszy doktor honoris causa Uniwersytetu Łódzkiego — aby ofiarować starszemu pocie pierwszy zbiorek swych wierszy — „Czyhanie na Boga”. Otworzyłem mu drzwi — wtedy poznałem Tuwima. Nieco później wraz z nim brałem udział w studenckim kabarecie-literackim „Gaudeamus”. Siła jego młodego kipiącego talentu rozlała się burzliwą falą, krusząc zmurszałe kanony młodopolszczyzny, zaniepokoiła mieszczuchów, zaskoczyła dostojnych kapłanów z „Chimery”. Wiersz „Wiosna” wydrukowany w „Pro arte et studio” zgorszył kilkunastu wierszokletów i bogoojęzyczną prasę kulturerii warszawskiej. Ale już pierwsza

książka przyniosła mu rozgłos i nie było w stanie powstrzymać pochodu jego poetyckiej sławy. Wiosną owego 1918 roku świeżo wróciłem z Rosji objętej rewolucją. Tuwim z ogromnym zaciekawieniem wypyttywał mnie o rzeczy widziane, szczególnie zaś o nowe wiersze poetów rosyjskich. Recytowałem mu „Dwunastu” i „Scytów” Błoka, które nie dotarły jeszcze do Polski. Słuchał pełen napięcia, z podziwem i wzruszeniem. Wiersze Błoka stały się pierwszą łączącą nas więzią, pomimo dość znacznej, jak na owe młode nasze lata, różnicy wieku. Później różnica ta się zatarła, ale wielkość jego talentu zawsze mnie onieśmielała.

Służba wojskowa oddalała mnie od Warszawy. Dochodziły mnie skąpe wieści o narodzinach „Picadora”, o nowych wierszach, o grupie młodych poetów, którym nadano w przyszłości miano skamandrytów.

W połowie roku 1920 znalazłem się znowu w stolicy. Wypadło mi cały mój studencki dobytek przewieźć do innego mieszkania. Zala-dowałem wszystko co posiadałem na dorożkę i, stojąc na stopniu, jechałem przez miasto. Proszono mnie, abym po drodze oddał do wydawnictwa korektę „Łąki” Leśmiana. Wtedy właśnie spotkałem Tuwima. Opanowany ciekawością stanął na drugim stopniu dorożki i jadąc tak ze mną ulicami Warszawy pochłaniał z wypiekami na twarzy leśmianowskie wiersze. Ku uciesze przechodniów wykrzykiwał słowa zachwyty, odczytywał na głos niektóre strofy gubiące się w turkotcie kół i ulicznym zgiełku. Ogarnęła

go żarliwość poety, dla którego poez-

zja była mocnym winem życia. Sława Tuwima szybko krzepła i wzrastał jego autorytet wśród pisarzy. W roku 1925 zaniósł mu rękopis pierwszego mego zbiorku. Przez dłuższy czas nie mógł zdecydować się na wypowiedzenie swego surowego sądu. Wreszcie pewnego dnia zaprosił mnie do „Astorii” i tam w odległym kącie sali mówił mi o tym, jaka poezja być powinna. Wreszcie, z wyrazem najwyższego zakłopotania powiedział głosem niemal tliwym: „Synku, niedobre są te wiersze”.

Mijały lata. Spotykałem się z Tuwimem często, widywałem go prawie codziennie w „Ziemiańskiej”. Od czasu do czasu, po wydrukowaniu tego lub innego wiersza, otrzymywałem od niego listowną pochwałę. Nigdy nie zabrakło mu na to czasu. Nigdy nie pozostawiał listu bez odpowiedzi.

Panosząca się w kraju reakcja nie oszczędziła Pocię plugawych napaści. Odpowiadał na nie z druzgocącym sarkazmem, ale raniła go postawa szaszyzowanej młodzieży. — „Nie wam nie pomoże — powiedział kiedyś do pikietujących oenierowców — dzieci wasze będą uczyły się o mnie w szkołach”. Wiemy, że się nie pomylił.

Gdy po wojnie nadeszła wieść o powrocie Tuwima, czekałem nań z Borejszą na lotnisku. Przjechał jednak koleją i nazajutrz witałem go w jego mieszkaniu na Wiejskiej. Wyprowadził mnie na taras i zarzucał pytaniami. Wmieniał dziesiątki nazwisk i wypyttywał o losy ludzi, których znał. Był wzruszony naszym bujnym życiem i wstrząśnięty, że nie potrafię krótkimi odpowiedziami wypełnić luki, którą wytworzyła w jego umyśle kilkuletnia nieobecność w kraju. Był pełen ciekawości i podziwu i z wolna otrząsł się z długotrwałych tęsknot. Dopiero pod koniec zapytał, czy znane mi są jakieśkolwiek szczegóły śmierci jego matki zamordowanej przez hitlerowców. Utkwił mi w pamięci tragizm jego wyczekującego spojrzenia.

Powrócił do Polski z ogromnym ładunkiem nowych zamiarów twórczych i znowu mijały lata pracowitego ponad wszelkie wyobrażenie żywota.

Pewnego dnia z niepokojem i trwogą posłałem mu przekład „Bajki o carze Saltanie”. Ten namiestnik Puszkina w polszczyźnie, powiązany z jego Muzą niewdzięcznymi niemi, nie był sędzią łagodnym i nie można było liczyć na jego pobłażliwość. Toteż nieopisaną radością napelił mnie jego krótki list:

„Kochana Brzechwo! Dziękuję Ci za piękną książkę. Twój przekład jest z n a k o m i t y! Mówię szczerze — zadziwił bierze. Nie rób mi zmartwienia — i na przyszłość tłumacz trochę gorzej. Ściskam Cię serdecznie — Julian Tuwim”.

Czyż mogłem pragnąć wyższej nagrody za tę tak trudną i odpowiedzialną pracę?

Po raz ostatni widziałem Tuwima w szpitalu, gdzie szczęśliwie udało mi się przewyciężyć chorobę, która jemu przyniosła śmierć. Powitał mnie najserdeczniejszym uśmiechem i uściskiem „Synku, jak się czujesz?” To były ostatnie jego słowa, które w życiu słyszałem.

Tak. Teraz już wiem, „co znaczy żal bezbrzeżny”.

Julku d-ogi, niezapomniany! Polska Ludowa owineła twą Muzę czerwonym i szarym. Ojczyzna-polszczyzna obwołała Cię narodowym Poetą. Nie ma na świecie niczego, co brzmiałoby bardziej dumnie!

Podobnie tak nieprzebrane tłumy warszawskiego ludu złożyły Ci hołd pośmiertny. rzucam i ja grudek twch słów na grób, którym ziemia rodzima jest „w samo serce zraniona”.

Jan Brzechwa

JERZY TEPICHT

O właściwą drogę rozwoju

W artykule „Perspektywa i dzień dzisiejszy” („Nowa Kultura” nr. 50) omówiliśmy zasadniczą sprawę walki o wzrost produkcji indywidualnych gospodarstw chłopskich przy zachowaniu pełnego rymsztunku bojowego i pełnego dynamizmu w walce o rozwój socjalistycznych form gospodarki w rolnictwie.

Zatrzymamy się teraz nieco nad zagadnieniem stosunkowo najtrudniejszym, na sposobie ułożenia naszych stosunków z indywidualnym gospodarstwem chłopskim.

Wytęczać dla ustawienia tej sprawy powinny być szczególnie ważne słowa towarzysza Bieruta w jego referacie na IX Plenum o tym, że w dużej mierze traktowało się chłopca j e d n o s t r o n n i e, widząc w nim prawie wyłącznie dostawcę, względnie sprządawcę produktów rolniczych, a nie widząc w dostatecznej mierze chłopca jako p r o d u c e n t a.

Przed wszystkim do jakiej części chłopstwa te słowa w głównej mierze się odnoszą? Przed wszystkim do średniaków. Średniak jest w naszym kraju i najliczniejszym, i największym producentem. Zilustruję to na dwóch rejonach naszego kraju. Zacznijmy od rejonu, który nazwiemy środkowo-wschodnim, a który obejmuje ziemie centralne jak woj. warszawskie, jak przeważającą część łódzkiego, północną część kieleckiego i ziemie wschodnie, jak woj. białostockie i lubelskie.

W tym rejonie układ procentowy gospodarstw chłopskich, należących do poszczególnych klas i grup społecznych, jest bardzo zbliżony do tego, co można by nazwać układem w skali ogólnokrajowej.

Gospodarstwa biedniackie stanowią tu około 35 proc., gospodarstwa średniackie nieco ponad 58 proc., gospodarstwa kułackie niecałe 7 proc. Oczywiście są to dane tylko przybliżone. W kraju te stosunki procentowe układają się różnie, ale to jest największy rejon w naszym kraju i najbardziej przeciętny, zarówno jeśli idzie o liczbę gospodarstw, w każdej z grup klasowych, jak i o udział poszczególnych grup chłopstwa w produkcji oraz w tej części produkcji, jaka jest zakupywana przez państwo — bądź w trybie dostaw obowiązkowych, bądź też w trybie kontraktacji.

W zbożu np. biedniak daje w rejonie tym około 15 proc. tego, co państwo kupuje, średniak 67 proc., a kułak 18 proc. Znaczący to, że średniak, który tam stanowi i tak absolutną większość gospodarstw, bo ponad 58 proc., w zbożu zajmuje jeszcze większe miejsce, bo 67 proc. W żywcu sytuacja wygląda tak: biedniak 31 proc., średniak 58 proc., kułak 11 proc. A więc średniak stanowi w tym największym spośród rejonów i najbardziej przeciętnym dla całego kraju 59 proc. gospodarstw, które dostarczają 58 proc. żywności sprzedanego państwu i 67 proc. zboża.

Tak przedstawia się sprawa rejonem środkowo-wschodnim. Weźmy teraz rejon środkowo-zachodni, a więc woj. poznańskie, bydgoskie, pewną część łódzkiego i gdańskiego. Tu już stosunki, jeśli chodzi o poszczególne klasy społeczne, układają się trochę inaczej. To jest teren najliczniejszego stosunkowo i najmocniejszego gospodarstwa chłopskiego. Ale i w tym terenie centralną figurą rolnictwa jest w masie swojej średniak. Jak przedstawiają się tu cyfry, dotyczące liczby gospodarstw? Biedota wiejska 39 proc., średniak 47 proc., kułak około 14 proc. A liczby dotyczące sprzedaży państwu zboża? Biedota 3 proc., średniak 52,5 proc., kułak 44,5 proc. Jak widzimy, ciężar gatunkowy kułaka jest poważny, ale i tutaj centralne miejsce zajmuje w gospodarce chłopskiej średniak. Trzeba jeszcze pamiętać, że liczby te dotyczą indywidualnych gospodarstw, a przecież w tym rejonie mamy już bardzo poważnie rozwiniętą spółdzielczość produkcyjną, przedstawiającą poważną siłę, jak również duże zaangażowanie PGR. Mamy więc w sumie — jako konkurentów kułaka — układ socjalistyczny (jedyne państwo i sektor socjalistyczny) oraz chłopstwo pracujące.

A co mówią dane dotyczące sprzedaży państwu żywności (dostawy plus kontraktacja)? Biedota 15 proc., średniak 62,5 proc., kułak 23,5 proc. Wzieliśmy za przykład rejon o najmocniejszym w naszym kraju kułactwie; widzimy, że nawet i w tym rejonie średniak stanowi centralną figurę rolnictwa. A zatem słowa towarzysza Bieruta, że trzeba umieć podejść do chłopca jako do producenta, jakkolwiek dotyczą w ogóle chłopstwa pracującego, dotyczą przede wszystkim umiejętności ułożenia stosunków właśnie ze średniakiem.

Co to znaczy podchodzić do chłopca jako do producenta, a nie tylko jako do sprzedawcy? Zacznijmy od strony najbardziej „przymiennej”, od tego, że — powiedzmy — o chłopie jako producencie zboża wypada myśleć nie tylko w lipcu, kiedy trzeba szykować magazyny na skup, ale już w sierpniu poprzed-

niego roku, kiedy trzeba szykować maszyny, nasiona i nawozy pod zboża ozime, wypadają o nim myśleć i w lutym, kiedy się trzeba szykować do siewu zbóż jarych i w ogóle myśleć o nim przez cały rok, bo przez cały rok produkuje się to, co w określonym momencie staje się przedmiotem skupu.

Ale z tym wiąże się następna sprawa: sprawa troski o potrzeby produkcyjne chłopca. Można prawić kazania i wygłaszać dziesiątki pogadank radiowych o potrzebie rozwoju hodowli, ale jeżeli się nie zadba o to, ażeby był odpowiedni materiał zarodowy, jeżeli w ramach naszych możliwości nie wykorzystamy się wszystkich rezerw dla ułatwienia budownictwa gospodarczego, to trudno wyjść poza werbalne hasła.

Ale nie tylko o potrzeby produkcyjne chłopca tu chodzi, lecz również o jego ludzkie potrzeby codzienne. I na tym odcinku wyłania się problem wykorzystania nie tylko możliwości z i e k s z e n i a produkcji artykułów, zaspokajających jego potrzeby codzienne (ta sprawa została bardzo ostro na Plenum postawiona) lecz, i to w niemiejszym stopniu, sprawa bardziej racjonalnego, bardziej wnikliwego, bliższego potrzebom ludzi rozprowadzania tego, co dawaliśmy dotąd, a co bynajmniej nie zawsze docierało do adresata. Np. byłem niedawno w powiecie kraśnickim. W powiecie tym część wsi jest zelektryfikowanych, część zaś nie. Okazuje się, że są zapasy nafty nie sprzedanej w sklepach, znajdujących się we wsiach zelektryfikowanych, a nie ma jej we wsiach, które elektryczności nie posiadają.

Trzeba skończyć z obojętnością w stosunku do tego, jak pracuje zaopatrzenie gminne w spółdzielniach, jak się Rada Narodowa odnosi do sprawy potrzeb ludności, jak faktycznie pracują gminne ośrodki maszynowe, co daje tej ludności instruktaż agronomiczny itp.

Jak widać, lapidarne powiedzenie o tym, że do chłopca trzeba podchodzić nie tylko jako do sprzedawcy i dostawcy artykułów rolniczych, ale i jako do producenta, zawiera całe bogactwo myśli związanych z bezpośrednią codzienną naszą praktyką i związanymi z klimatem, z politycznym ustawieniem sojuszu z chłopstwem. Najgłębszą bowiem treścią tej myśli towarzysza Bieruta jest sojusz robotniczo-chłopski.

DWA RODZAJE BODŹCÓW

Zarazem musimy wciąż pamiętać, że sojusz robotniczo-chłopski, w szczególności nasz sojusz ze średniakiem, nie może liczyć się tylko z chłopem jako człowiekiem pracy. Musi on również liczyć się z chłopem jako z drobnym wytwórcą towarów, liczyć się z oboma duszami chłopca. Bo nie głosimy programu zlikwidowania siłą jednej z dusz naszego sojusznika — mamy program stopniowej żmudnej pracy nad naszym sojusznikiem w kierunku wciągnięcia go do budowy socjalistycznego rolnictwa. Ze sprawa „dwóch dusz”, wynikających z dwoistej natury ekonomiki chłopstwa, wiąże się sprawa dwóch rodzajów bodźców, oddziałujących na drobnego wytwórcę towarów.

Pierwszy rodzaj bodźców wyraża się głównie w d o s t a w a c h. Bodźce te stanowią warunek, aby gospodarstwo chłopskie produkowało najniezbędniejsze minimum dla zaopatrzenia klasy robotniczej w żywność, przemysłu w surowce itd. Drugi rodzaj bodźców stanowi te, które powinny pobudzić do wytwarzania przez rolnictwo możliwie dużej ilości towarów ponad to minimum, są t o b o d Ź c e m a t e r i a l n e g o z a i n t e r e s o w a n i a.

IX Plenum te szczególną siłą zaakceptowało te bodźce materialnego zainteresowania podkreślając, że przy wstępującej produkcji rolniczej dostawy obowiązkowe nie będą u nas wznosiły i nie obejmą nowych artykułów rolniczych, że natomiast rozszerzać się będzie zasięg kontraktacji i wzrosną korzyści związane z kontraktacją, rozszerzać się będzie zasięg skupu poza dostawami na korzystnych warunkach itd.

Te dwa rodzaje bodźców były sformułowane w ogólnej, zasadniczej postaci, przez tow. Bierutę jeszcze na VII Plenum, kiedy mówił o trzech rodzajach zbytu produktów chłopskich: 1) dostawy, 2) kontraktacja, 3) wolna sprzedaż nadwyżek przez producenta konsumentowi. Trzeba sobie zdać sprawę z tego, że aby móc mocniej niż dotąd akcentować drugą grupę bodźców, potrzebne było akcentowanie większej siły ekonomicznej w ręku państwa, większej siły przemysłu, bo skoro chłop otrzymał ma więcej pieniędzy, musi za te pieniądze otrzymać też większą ilość towarów przemysłowych. Trzeba więc było szeregu warunków, które teraz dojrzały i pozwoliły na większe zaakcentowanie tej sprawy.

Na tle rozwoju tych dwóch rodzajów bodźców, stawiamy dziś sprawę walki o wydobycie wszyst-

kich możliwych rezerw podniesienia produkcji indywidualnych gospodarstw chłopskich.

STOSUJEMY CZTERY ZASADY WYDOBYCIA REZERW

Zwracając się do chłopca z hasłem podnoszenia produkcji rolniczej, nie zwracamy się doń z egzotyką, z żądaniem efektywnych czynników i z najbardziej trudnymi zadaniami. Idziemy z bardzo prostymi zadaniami, które w każdym terenie są wypróbowane, sprawdzone, znane chłopom i uznane, a jednak nie wykorzystywane.

Rozwija się u nas np. ruch mizurynowców. Jest to wspaniały i bardzo pożyteczny ruch. U nas teraz na wsi „mizurynowcem” nazywają w ogóle chłopca, który osiąga przodujące rezultaty w jakiegokolwiek dziedzinie produkcji. Są u nas tacy mizurynowcy, którzy osiągnęli 600 kwintali buraka cukrowego z ha. Czy trzeba ich popularyzować? Trzeba. To uczy, jak mawiał Lenin, „twórczo marzyć”. To uczy widzieć śmiało przyszłość i widzieć wielkie możliwości. Lecz czy można postawić dzisiaj zadanie 600 kwintali z buraka cukrowego z hektara całego rolnictwu polskiemu? To byłoby donkiszoteria. Ale czy zadanie 250 kwintali z hektara można postawić, jeżeli w kraju przeciętny zbiór z ha wynosi 200 kwintali? Można. To jest proste zadanie, i właśnie idziemy do chłopca z prostymi zadaniami, a mizurynizm niech będzie naszym sztandarem, który pokazuje, że można i trzeba będzie potem iść dalej.

Wszędzie stosowane są nawozy, ale nie wszędzie w jednaki sposób. W każdym terenie jest już możliwość wymiany nasion na nasiona lepszego gatunku. Wszędzie niestety są chwały i można i trzeba te chwasty wyrwać. Wszędzie mogą być pszczoły i można przy ich pomocy mleć nie tylko miód, ale i wyższe plony. To są te proste lokalne zadania, właściwe dla danego terenu, które nasze rady powiatowe i gminne powinny stawiać, wykorzystując doświadczenia przodujących rolników w danym terenie.

A więc pierwsza sprawa to prostota, a nie egzotyka zadań. Możemy jednak i powinniśmy przenosić rzeczy zupełnie proste z jednego terenu na tereny pokrewne, a nieraz i na całe rolnictwo. Weźmy np. naszych górali. W górach znane jest marnotrawstwo obornika, związane z brakiem słomy i nieznanością takich rodzajów ściółki jak np. torfowa. Lecz tenże góról, żyjąc w terenie, gdzie jest dużo deszczów, nauczył się tak suszyć siano, jak nie potrafił tego w całej Polsce. Należałoby więc go pochwalić za umiejętność suszenia siana i zganić za obornik, przenieść na jego teren dobry sposób przechowywania obornika, a od niego przejąć sposób suszenia siana. Takich przykładów można by przytoczyć bardzo dużo. A więc druga zasada, to przenoszenie prostych i sprawdzonych sposobów z jednego terenu na drugie.

Trzecia zasada — to dyalektyka w praktyce. Idzie o to, aby chłopu wykazać w praktyce współzależność szeregu zabiegów w jego gospodarce, wykazać mu, jak wielkie rezerwy tkwią w wielostronności jego gospodarstwa. Weźmy np. sprawę hodowli. Często na tle trudności paszowych, na tle braku odwagi w działaniu, na tle zaoferowania itd. powstaje tendencja do tego, że jak hodować krowy to nie świnię, a jak świnię to nie krowy. A przecież jest rzeczą znaną, że łatwiej się hoduje świnię właśnie przy krowach — chociażby ze względu na mleko jako paszę, ze względu na obornik, który pozwoli mieć więcej kartofli, wobec tego znów więcej paszy itd.

I w tej dziedzinie — walki o kompleksowość sposobów podnoszenia rolnictwa stoi zadanie przenoszenia osiągnięć jednego terenu na drugie. Taki na przykład powiat krotoszyński. Jest tam dużo biedoty, mało koni, ale właśnie tam wielostronność hodowli jest tak rozwinięta, że można na ich przykładzie uczyć chłopów z innych terenów. Oczywiście kompleksowość nie ogranicza się do spraw hodowli. Właśnie związek produkcji zwierzęcej z produkcją roślinną i ich wzajemne oddziaływanie są podstawą idei kompleksowości w całym rolnictwie.

Wreszcie czwarta zasada, będąca również częścią dyalektyki na codzień. Każde gospodarstwo rolne to kompleks, ale w tym kompleksie zależność od terenu, będzie jakaś kluczowa sprawa, którą trzeba wydobyc i rozwiązać, aby podnieść produkcję w danym terenie. Np. w terenie o małej ilości pastwisk będzie to kwestia uprawy roślin pastewnych, podniesienia łąk itd. W innym kwestie odwodnienia, w całym zaś kraju głównym ogniwem, za które musimy dziś chwycić, jest sprawa hodowli.

W tych czterech zasadach: 1) prostota a nie egzotyka zadań, nadających się do masowego uogólnienia, 2) przenoszenie prostych a dobrych sposobów z terenu na teren, 3) wpojenie chłopu

zrozumienia kompleksowości zabiegów w jego gospodarstwie i 4) uchwycenie tego, co jest głównym ogniwem w danym kompleksie — zawiera się organizacyjno-techniczna istota zagadnienia rezerw gospodarki rolnej.

WALKA O PRODUKCJE, A WALKA KLASOWA

Kułacki program w sprawie wymiany między miastem a wsią jest nam wszystkim znany: nieograniczona wolność handlu (czytaj — spekulacji, czytaj — zagarniania zysków przez elementy spekulancie i kułackie kosztem nie tylko biedniaka, ale i średniaka). Czy średniak też wrogą istotę kułackich hasałów natychmiast i za każdym razem dostrzega? Nie. Trzeba do tego stałej i dużej roboty politycznej, trzeba właściwych bodźców ekonomicznych, trzeba w pierwszym rzędzie izolowania od niego kułaka.

Ta izolacja jest niemożliwa bez mocnego oparcia się na wsi o biedotę. Jest w powiecie krasnostawskim wieś, właściwie przysiółek. Składa się z bardzo biednych parcelantów, którzy jeszcze nie dorobili się budynków gospodarskich i którzy muszą przedko młócić, bo nie mają gdzie przechować zboża itd. Dostawy stałe wypełniali. W tym roku przez sierpień, wrzesień i październik czekali na młockarnię z POM. Otrzymali dopiero w listopadzie. Do tego czasu zdążyli się zadłużyć u kułaków, bo musieli jeść i potrzebna im była ściółka. Obok jest druga wioska, gdzie jest spora ilość średniaków i poważna ilość kułaków. Wieś, która nie wypełniła planu dostaw. Co robi gmina? Daje wszystkie młockarnie na tę wieś. Bo to będzie ważyło w planie skupu zboża. Od biedniaków dostanie się go przecież niewiele.

Czego tu władza gminna nie rozumiała? Nie rozumiała tego, że biedniacka wioska mogła politycznie zaważyć na planie wtedy, kiedy kułak próbował organizować niewykonywanie dostaw. Jest to proste, lecz dobitny przykład, jak wąsko gospodarze a niepolityczne podejście, jak gubienie w praktyce wskazane trójjedynę formuły Lenina prowadzi — zamiast do izolacji kułaka — do jego umocnienia politycznego.

Nie ma izolacji kułaka bez oparcia się o biedotę. Przeciwnie w kraju (proszę nie traktować tego po aptekarsku) biedniak reprezentuje 34 proc. gospodarstw, średniak około 59 proc., a kułak 7 proc. 34 proc. biedoty to jest poważna siła, którą trzeba widzieć. Jeśli się nie widzi tych 34 proc. biedoty, w tym czy innym terenie, to nie dostrzeże się też i tych paru procent kułaków. Tylko biedniak może pokazać konkretnego kułaka. Ani ilość hektarów, ani inne „oznaki szczególne” nie pokażą papierkowcom i poszukiwaczom łatwizny rzeczywistego kułaka. Pokaże im go dopiero biedniak, o ile ktoś naprawdę trafi do niego. Pokaże i pomoże roznać się w jego sprawach — pod warunkiem, że ośmielimy do tego naszego biedniaka.

A czy my mamy z czym iść do tej siły potencjalnej, jaka stanowi u nas wiejska biedota? Według badań, które prowadził w pewnej liczbie wsi Instytut Ekonomiki Rolnej wypadło, że 62 proc. gospodarstw biedniackich zmuszonych jest pozyskać konie od bogatszego sąsiada, przy czym połowa z nich odbiera za konie, czwarta część płaci pieniędzmi, reszta zaś oddaje część swoich produktów. Np. w rejonie północnym (województwo olsztyńskie) mamy odrobki za konie, za maszyny, za ziemię, za mieszkanie, za żywność.

Tow. Bieruta mówił na Plenum m. in. o tym, że nasze Gminne Ośrodki Maszynowe w bardzo słabym stopniu pomagają biedocie. One głównie pomagają średniakowi, a już bardziej — powiedzmy sobie szczerze — kułakowi niż biedocie. W czym leży tajemnica? Tajemnicą leży w tym, że nasze Gminne Ośrodki Maszynowe, przynajmniej jak dotąd, nie posiadają koni (jest to zresztą problem dosyć złożony), a jeżeli chłop ma wziąć siewnik z POM, zaś konia od kułaka, to już bierze wszystko od kułaka. A pomoc sąsiadka, która mogłaby przyczynić do udostępnienia maszyn GOM biedniakom, też często funkcjonuje tylko na papierze.

Mówimy: walka o produkcję łączy się z walką klasową. Łączy się, bo walka o produkcję jest niemożliwa bez umocnienia sojuszu ze średniakiem, a umacnianie sojuszu, pogłębianie spójni ekonomicznej ze średniakiem jest niemożliwe bez izolacji kułaka. A to wszystko razem jest niemożliwe bez oddziaływania poprzez najmocniejszą nasze oparcie na wsi, jakim jest chłop-biedniak.

ZASADY NASZEJ POLITYKI WOBEC KUŁAKA

Postawienie tej sprawy wymaga od nas sprzeciwiania zasad naszej polityki wobec kułaka. Mówimy o polityce ograniczania kułaka. Co to właściwie znaczy? Wydaje się, że można by odpowiedzieć w głównym zarysach na to pytanie w trzech punktach:

1) Staramy się możliwe jak najbardziej ograniczyć kułacki wyzysk, zarówno kułacki wyzysk biedoty na wsi, jak i kułacki wyzysk klasy robotniczej dokonywany poprzez spekulację.

2) Staramy się ograniczyć kułacką akumulację kapitalistyczną w rolnictwie, nagromadzenie kapitału w rolnictwie. Powiadamy „ograniczyć”, bo na obecnym etapie nie jesteśmy w stanie w ogóle do niej dopuścić — tak samo, jak nie jesteśmy w stanie w ogóle uniemożliwić na wsi wyzysku. Jedno i drugie osiągniemy jedynie po ostatecznym zwycięstwie socjalistycznej rewolucji w rolnictwie. Staramy się to gromadzenie kapitałów ograniczać, ale w pewnym stopniu ta akumulacja dalej istnieje. To jest fakt, związany zresztą z samą produkcją kułacką, z samym celem produkcji kułackiej, która — jak wiadomo — jest wciąż jeszcze potrzebna.

3) Staramy się ograniczyć wagę, znaczenie kułaka w ogólnej i towarowej produkcji naszego rolnictwa. Oczywiście nie przez dążność do zmniejszenia produkcji kułackiej, lecz przez dążność do zwiększenia produkcji naszych spółdzielni produkcyjnych, naszych PGR, chłopów biednych i średniorolnych przez co ciężar gatunkowy kułaka powinien maleć.

Następne pytanie. Jak my to ograniczamy? Środki ograniczenia i formy ograniczenia są różnorodne. Zgrubsza można powiedzieć, że istnieją bezpośrednie formy ograniczania kułaka, jak np. progresja podatkowa oraz czynniki pośrednie, jak np. rozwój industrializacji, który pozbawia kułaka siły roboczej, rozwój spółdzielczości produkcyjnej, który działa w tym samym kierunku itd.

A teraz, jak jest z tym wypieraniem kułaka?

Na Plenum padło sformułowanie, które oddaje istotę zagadnienia: ograniczanie jest istotą naszej polityki w stosunku do kułaka, wypieranie zaś ubocznym skutkiem. Jak mówił towarzysze Stalin, część gospodarstw kułackich nie wytrzymuje naszej polityki ograniczającej i schodzi z pola walki. Lecz czy w naszym interesie leży powiększanie tego skutku ubocznego? Nie, to nie leży w naszym interesie. Czy zatem trzeba poddawać się panice z powodu tego ubocznego skutku? Też nie. Trzeba tylko czuwać, aby żaden nadgorliwiec nie starał się nam „dopomóc” w zwiększaniu tych skutków ubocznych. A żeby dać lepiej wyczuć sens sprawy, pozwolę sobie powtórzyć popularne porównanie. Wyobraźmy więc sobie kawałek metalu, który obrabia ktoś na tokarce. Nikt jeszcze nie widział takiego toczenia metalu, ażeby zeń opiłki nie leciały. Ale też żaden dobry technik-gospodarz nie będzie się starał, ażeby tych opiłków było jak najwięcej. Ograniczenie jest — powtarzamy — ubocznym skutkiem, nie jest dyrektywą działania. Porównanie nie jest wprawdzie do wodom, ale czasami dla zbyt niedialektycznych, sztywnych umysłów jest ono dobrym środkiem uczulającym.

WALKA O PRODUKCJE, A ROZWÓJ SPÓŁDZIELCZOŚCI PRODUKCYJNEJ

Wreszcie ostatnia sprawa: sprawa związku, jaki zachodzi pomiędzy naszą walką o produkcję, a walką o rozwój spółdzielczości produkcyjnej. Były w terenie pogłoski, że Partia zatępiła na jakiś odwrót z terenu spółdzielczości produkcyjnej.

Jaki mógł być grunt dla takich pogłosek? Tylko wtedy, gdy się rozwój spółdzielczości produkcyjnej identyfikuje z odwracaniem pleców od mas biedniackich i średniackich, lub z łamaniem zasady dobrowolności, można potępianie przez partię tego niedoceniania potrzeb indywidualnych gospodarstw i tego łamania dobrowolności traktować jako odwrót na froncie walki o rozwój spółdzielczości produkcyjnej.

Na Plenum uderzyło się mocno i słusznie w teoryjkę, że „im gorzej, tym lepiej”. Ci, którzy teoryjkę tej ulegali, pytają teraz: „jakże chłop ma iść do spółdzielni produkcyjnej, skoro my staramy się polepszyć jego byt, jeszcze jako indywidualnego gospodarza?”

Oczywiście trudniej to będzie osiągnąć. Jednakże trudniej tylko dla tych, którzy nie rozumieją generalnej linii naszej partii. Bo z linii tej wynika zasada (kto jej nie rozumie, ten nie rozumie sojuszu robotniczo-chłopskiego), że chłop biedny i średniorolny do spółdzielczości produkcyjnej ma iść nie z desperacji, lecz z rosnącego zaufania do Partii, do władzy ludowej, a ten wzrost zaufania jest niemożliwy bez troski o jego byt, o jego produkcję, o jego gospodarke.

Czy z tego można wyciągnąć wniosek, że chłop wejdzie „automatycznie” na drogę spółdzielczości produkcyjnej przez to, że będziemy podnosili jego produkcję i wykazywali troskę o jego gospodarke? Chłop będzie nam niewątpliwie bar-

dzo wdzięczny, ale z tego jeszcze nie wynika, że pójdzie do spółdzielczości sam, automatycznie. Kto by tak sądził, też by niewiele rozumiał z sojuszu robotniczo-chłopskiego, bo nie rozumiałby zasady kierowniczej roli klasy robotniczej, państwa proletariackiego w tym sojuszu.

Stalin określał w swoim czasie gospodarstwo chłopskie, w szczególności gospodarstwo średniackie, jako „gospodarstwo na rozdrożu”, gospodarstwo, przed którym są dwie drogi rozwoju: kapitalistyczna i socjalistyczna. Jeżeli by zostawił to gospodarstwo samemu sobie i nawet pomagać mu we wzroście produkcji, ale ograniczyć naszą aktywność tylko do tego, to w jakim kierunku rozwinięłoby się to gospodarstwo? W kierunku kapitalizmu. Drobnotowarowa gospodarka będzie co dnia, co godzinę w tych warunkach rodziła kapitalizm. Trzeba aktywnie przyczynić się do tego, ażeby wyszło ono na socjalistyczną drogę rozwoju. Trzeba budować mosty, które to „gospodarstwo na rozdrożu” skierują na socjalistyczną drogę rozwoju.

A co to są te mosty? To są wszystkie formy spójni ekonomicznej między przemysłem socjalistycznym, państwowym, proletariackim a drobnotowarową gospodarką chłopską, spójni, o której rozwój teraz walczymy. To jest np. rozwój Gminnych Spółdzielni „Samopomoc Chłopska”, rozwój kontraktacji produktów chłopskich, rozwój Gminnych Ośrodków Maszynowych itd.

Gdyby gospodarstwo średniackie poszło kapitalistyczną drogą rozwoju (poszłoby na nią żywiołowo i niezawodnie, gdyby nie było z naszej strony bodźców, kierujących je w innym kierunku), droga ta oznaczałaby w ostatecznej konsekwencji upadek dla większości gospodarstw średniackich. Tylko garstka podniosłaby się do poziomu kułaka, większość sproletaryzowała się. Naszą rzeczą jest budować te mosty — zarówno w interesie klasy robotniczej, jak w interesie średniaka, w interesie każdego chłopca pracującego. Możemy zatem powiedzieć, że potrzebny nam jest nie po prostu wzrost produkcji, lecz taki wzrost produkcji, który jest związany z pogłębianiem się naszej spójni z indywidualnym gospodarstwem biedniackim i średniackim.

Tu się spleta i walka klasowa (np. Gminny Ośrodek Maszynowy, który powinien bronić biedniaka i średniaka przed wyzyskiem kułaka) i związek gospodarstwa chłopskiego z państwem, z naszą gospodarką planową.

Na gruncie tych powiązań gospodarczych i naszej walki politycznej rozwija się rozumienie, że chłopu warto łączyć swój interes z interesem państwa, tzn. socjalizmu, że warto mu przy pomocy państwa łączyć swe siły z siłami sąsiadów wokół prostych i dostępnych dlań spraw, jak np. gminna spółdzielnia. I tak stopniowo tworzy się klimat do wejścia na wyższy szczebel, jakim będzie dlań spółdzielnia produkcyjna.

Nie ulega wątpliwości, że na tle walki o podniesienie produkcji indywidualnych gospodarstw chłopskich, na tle stwarzania im warunków do tego podniesienia, tym większe obowiązki ciążyą na nas w walce o pomyślenie warunki rozwoju naszych spółdzielni produkcyjnych, o ich umacnianie się, o ich siłę, jako przykładu, który winien oddziaływać na otoczenie. Czy to znaczy, że przeciwstawiamy walkę o jakość spółdzielni — walce o ilość spółdzielni? Nie. Każdy, kto ma do czynienia z tą sprawą w terenie wie, że tam, gdzie nie budujemy nowych spółdzielni, tam w starych spółdzielniach chłopcy zaczynają się chwiać. Bo przecież znajdujemy się jeszcze i długo jeszcze będziemy się znajdować w stanie ostrej walki z kułacką robotą rozkładową. I to właśnie jest to nowe zadanie, jakie wysuwa IX Plenum.

Wojewódzka Rada Narodowa w Lublinie przyznała jednej ze spółdzielni kępe, gdzie uprawia się wiklinę. Spółdzielnia zaczęła tam już nawet inwestować. Ktoś w Wojewódzkiej Radzie Narodowej — czy przez biurokratyzm, czy przez złośliwość — przyznał tę samą kępe okolicznym indywidualnym chłopom. Tam się już chłopci prawie za koły brać chcieli. Krzyczano o złej woli, o biurokratyzmie, niektórzy mówili o sabotażu jakiegoś urzędnika wojewódzkiej rady. Sprawa zostanie odpowiednio wyjaśniona, ale czy nie można by postawić jej w ten sposób, ażeby i spółdzielnia i indywidualni chłopcy wspólnie eksploatowali tę wiklinę, aby traktowali to jako wspólne przedsiębiorstwo? Takich wypadków mamy w Polsce masę. Trzeba je rozwiązywać, trzeba rozwijać w praktyce te myśli, że można z przystoiwością kości niezgody tworzyć mosty zgody między spółdzielnią a okoliczną biedotą i średniakami, można im właśnie tą drogą budować most, po którym przejdą w przyszłości do spółdzielni, z którą ich usiłowano poróżnić.

Kilka uwag o współczesnej literaturze perskiej

(ARTYKUŁ NAPIISANY SPECJALNIE DLA „NOWEJ KULTURY”)



DANIEL DEFOE

PRZYPADKI

ROBINZONA KRUZOE

Wydanie pod redakcją Jana Kotta

T. I przełożył Józef Birkenmajer,
t. II — przekład anonimowy z XIX
w. opracował Grzegorz Sisko

Wstępem opatrzył Jan Kott
Ilustracje J. I. Grandville'a

T. I str. 358, t. II str. 314
w oprawie płt. t. III str. 39,—

PAŃSTWOWY
INSTYTUT WYDAWNICZY

15887-1

Trzeci okres rozpoczyna się bezpośrednio po upadku dyktatorstwa Szacha, w sierpniu 1941 r. Dzięki zniesieniu systemu faszyzowskiego, zapewniona zostaje przynajmniej względna wolność dla działalności partii politycznych oraz związków zawodowych. Zaczyna się znówu rozwijać w szerszych ramach postępową twórczość literacką. Ukazują się liczne tłumaczenia pisarzy radzieckich i utwory z literatury postępowej Zachodu. Pojawia się również nowa krytyczna tematyka literacka

Mam nadzieję, że te fragmentaryczne uwagi o literaturze polskiej w pewnej mierze zbliżą ją do moich polskich przyjaciół. Wiedza inteligencji polskiej o Polsce — jak mi się wydaje — jest stosunkowo mniejsza, niż znajomość kultury polskiej w Polsce. Odpowiedzialność za ten stan rzeczy spada na przedstawicieli kultury polskiej, którzy mało okazali staran, by popularyzować ją za granicą. Może mój artykuł w jakimś stopniu przyczyni się do poprawienia naszych błędów w tej dziedzinie.

Najwybitniejszym dziełem literatury hiszpańskiej jest dzieło, które w krótkim czasie i w chwili wybuchu wojny domowej, tzn. w przełomie na niemal 20 – test jak pogodnie stwardzają rewentenci francuscy i angielscy – „Rojwisko” Camilo Jose Celi. Książka ta spotkała się z niezwykle reakcją, mimo że jej autor, leczący obecnie 37 lat, ważyłby po wojnie, wrócił do Katalonii (hiszpański region autonomiczny), przebywał tam w Madrycie, pracując – mimo to jego „Rojwisko” spotkało się z niezwyklejnym przyjęciem. Chleb, kupony żywności, nie grozaki. Spodziewa się, że do 2 w nocy, na rozważeniu, stawa, wreszcie, w ostatni ego, tramy, jeżdżającego do baraków. Ma się

Wiktoria ma l...
dobrze zbudowa...
chorego na gruźl...
ca, który całym...
nie opuszcza łóż...
walczyć, nie ma...
nie całowała b...
zaraz, ale dzieł...
to nie zwala Pe...
Wiktoria przycho...
z zaciętnym

Zadania pisarzy
w świetle uchwał IX Plenum KC PZPR

Spiewak
o. Wierzyca
jest za
nieczynnym
m, ale
uchowana
upialego
puje na
żywozwa-
kiania
naży po-
orem -
zaz piec-
z, zjada
szyska-
jesz-
czatując
owary-
kuje go
o. do
zieniety
17 jest
Ko. ha
chlip-
dniam)
tko-
by go
cze sie
nag
to do
ha. a
siami.

a. b.

jahor

Jerzy Ficowski
CYGANIE POLSCY
 Szkice historyczno-obyczajowe

202 21 25.--
PAŃSTWOWY
INSTYTUT WYDAWNICZY
k 13978 1

Chiny nie dość odkryte

omieszanie dwóch technik, odle-
ch od siebie pod względem hi-
stycznym, stanowi drugi zwraca-
jący uwagę element tego stylu. Z
tej strony jest to powolna, nie-
nawet teatralna opowieść. Z
głęboko jednak, w momentach
tętnów myślowych pojawia się
steja wody film niemy. Sekwen-
s napadu kuomintangowców o ro-
mana jest w szybkich, niemych
planach montażowych, traktowa-
nych symbolicznie. Twarz kobiety
władającej swe dzieje skontra-
stowana jest nagle ze spienionym
tętnem rzeki („plynie rzeka uspo-
koina”). Te nagłe przeskokki stylo-
wa pewno jeszcze nie dość
są „doszlifowane”, stanowią
jak, być może, materiał dla rene-
wacji dynamicznej techniki filmo-
wej, który odbyć się może z rów-
noważeniem w Chinach jak
w Czechach i Indziej.

Kronika zagraniczna

Trzecia wojna w oczach mieszczanina francuskiego

[illegible]

Francję z mapy świata. Kobiety skwierze się do Ameryki, gdzie braknie służących do wszystkiego, przyczyną zaś obelne siły, które zresztą trzymają się na ostatniej nitce".

Wypadki te — streszcza dalej — Aymé swój niedoszły romans, stanowiąc zaledwie, "to powiesić, które rym hatnie czarującą historię miłosną — między symem naszego prawdziwego ministra informacji oraz dzieł szeryfa. Tych dwie uwiebiamy — oczywiście — rodzina szeryfa". Otóż cała historia starego sługi — przy- kładem starożytności — na Omuzo — przeciwnie, jest małżeństwem dzwierzycy z Francuzem. "Sąs edzi ten się nie zgadzają Faul- znany jak neutralista" na razie się nie wypowiada".

Kochankowie wzdychają do siebie — ale nie całkiem swobodnie, i młode dziewczyny — jest w ci- ży za ministra. Gdy szeryf

a) Aluzja do podobnej afery w 1947 r.

Na ulicach trągi znego Madrytu

Najwybitniejszy dzieł
literatury hiszpańskiej
chwil wyluchał wody
omowej, tzn. w przeciągu
niemał 20 — jest jak
odnie stwierdzają rewen-
tancuscy i angielscy
„Rojowski”. Camilo Jo-
calski, Kiczka ta społa-
se z niezwykłą reakcją
ze jej autor, tyczący
enie 37 lat walczył po
onie Franka, wstąpił do
langi (hiszpańskiej) partii
ostowskiej, przebywa-
e w Madrycie i tam
aję — mimo to jego
ojowski „spokoła” nie

choду przyjęło z zainteresowaniem książkę Celi, opiewającą podjęte zasado-
dzie co film i polskie
dzące tu zgodnie ze wzglę-
do na atmosferę dramatyz-
cznego egotyzmu, z pominię-
ciem wniosków społecz-
nych. Jeden z krytyków opi-
sując tę książkę, scenki opisa-
ne przez Celi, wstydzą-
co do głębi, ale mimo że
każda z nich jest przejmują-
cą, razem wzięte tracą
ostrość, bo książka nie po-
stawiła jedności". Ta forma-
lizacja krytyki, wyrażająca
silnego doniosłości moral-
nej „Rojowska", podkre-
ślonę przez prasę postępo-
wą, która zarzucając auto-
rowi „postawę niewłaściwą
całkowicie przecie, że
dział jego jest niewła-
ściwie jako przejawiający
dokument — obraz życia
w stolicy faszystu oraz jako
wzrost wydaw, dręczącego
nawet zwolenników now. Fran-
ka, który przegroził mu
drogę do szczytów, a wresz-
cie, przygnębieni i zmęczeni,
ze smutk em ogładają po-
nury świat stworzony
przez Caudilla

NOWOŚCI  **NOWOŚCI**

Jan Parandowski
SZKICE LITERACKIE
Str. 242 zł 7.—

Hanna Mortkowicz-Olczakowa
ZMIANY W KRAJOBRAZIE
Opowiadania o Nowej Hucie
Str. 167 zł 6.20

Paweł Jasienica
BIAŁY FRONT
Str. 288 zł 10.—

Stanisław Strumph-Wojtkiewicz
OPOWIEŚĆ O BRONISŁAWIE
SZWARCEM
Str. 272 zł 10.—

Michał Rusinek
WIOSNA ADMIRAŁA
T. I—II str 356 zł 15.50

Jerzy Ficowski
CYGANIE POLSKY
Szkice historyczno-obyczajowe
Str. 262 zł 25.—

PAŃSTWOWY
INSTYTUT WYDAWNICZY

Zegledem rysunku postaci jest czarno-biały. Są w nim żli, okrutni wrogowie, pusi, a jednocześnie tchórzliwi, oraz dobrzy, szlachetni i mężni przedstawiciele ludu, chłopi, żołnierze Armii Czerwonej. Wychowanków europejskiej powieści psychologicznej może to z początku i szokuje; mamy nawet na to nazwę—schematyzm. Ale baśń ludowa nie jest nigdy schematyczna, chociaż pokazuje postacie czarne i białe. Nie jest schematyczna, bo jest typowa, wyobrazliwa, wyjaśniewa zasadniczy konflikt społecny—panów i ludu; bo posługuje się konwencją, w której nie tylko człowiek, ale i jego otoczenie sprowadzone jest do barw czarnych i białych. Kiedy w chińskim filmie samotna uciekinierka rodzi dziecko w ruinach spalonej chaty, pokokota szaleje czarna burza z błyskawicami. Kiedy dziecko przychodzi na świat, pojawia się słońce. Ten typ widzenia, właściwy ludowej opowieści, dominuje w chińskim filmie.

Pomieszczenie dwóch technik, odleśnionych od siebie pod względem historycznym, stanowi drugi zwracający uwagę element stylu. Z jednej strony jest to powolna, niepośpieszna, nawet teatralna opowieść. Z drugiej jednak, w momentach krótkich myślowych pojawia się przystępny wód film niemy. Sekwencyjny napad komunistangowców na granicę jest w szybkich, niemych ujęciach montażowych, traktowanych symbolicznie. Twarz kobiety opowiadającej swe dzieje skonstruowana jest nagle ze spienionym trytem rzeki („płynię rzeka wspomnień“). Te nagłe przeskoki stylistyczne, na pewno jeszcze nie dość doświadczone „doszlifowane“, stanowią jednak, być może, materiał dla renesansu dynamicznej techniki filmowej, który odbyć się może z równym powodzeniem w Chinach jak w dziełach wielkich Indjów.

Lutnia Tuwima

Nieznane drzewo

Gdzie jesteś, drzewo mocne i dumne,
Rozgałęzione, liśćmi szumne,
Wzięłam korzeni zarosłe w ziemi,
Drzewo, z którego będę miał trumnę?

Muszę cię poznać, w korę zastukać,
Po lasach wołać, po borach hukać:
Gdzieżeś, tajemne drzewo trumienne?
Twój narzeczony przyszedł cię szukać

Błądzi strapiiony po ciemnym borze,
Drzewa swojego znaleźć nie może,
Zaszum mi, zaszum na wieczność naszą,
Zanim się z tobą do snu ułożę.

Trzeba się przecież umówić wprzód
Na owe ciężkie, śmiertelne trudy,
Gdy nam sądzono po nieskończoność
Zmieniać się w popiół, w bezpłodne grudy.

Może na tratwach po sienie fall
Przypłyniesz do mnie z ogromnej dali,
I wstyd nam będzie, wieczny sąsiedzie,
Żeśmy do śmierci się nie poznali!...

A może rośniesz przed moim domem,
Co dzień witane, a nieznajome,
I ktoś ci może wyrzezał w korze
Mile litery, sercu wiadome?

Długo serdecznie gadałbym z tobą,
Wzruszyłbym wierszem, wymógł żalobą,
Żebyś rozparło tę ziemię czarną
I znów zakwitło, na dziwo grobom.

Żebyś mnie w siebie jakoś wszczepiło,
Wydarło z ziemi ukrytą siłą!
Coś może złączy nerw jakiś z kłaczem
I zadrzewimy się nad mogiłą!

Może ogromnym westchnieniem z łona
W górę nas wzniesie ziemia zielona,
Ziemia jedyna, ziemia rodzima,
Tym grobem w samo serce zraniona.

1925



Nie ma kraju...

Nie ma kraju, skąd nie będę tęsknił
Do dawnych, szarych ulic.
Złamię się w żałosci każdy krzyk zwycięski,
We wszystkim dawność się rozczuli.

Nie ma ziemi, na której bym spoczął
Bez szarego, dawnego wspomnienia.
Wszędzie, wszędzie moim oczom
Jedno jest do patrzenia.

Nie mnie, nie nie uspokoił,
Nie w porwybie już nie zatrzyma.
Wiecznie otworem nade mną stoj
Niebo — ziemia moja rodzima.

Nie pomogą żadne podróże
Ani tłumy, ani oceany,
Modłę się na ulicach coraz dłużej,
Zapatrzone, zasluchany.

Nie pomogą najprzedziwniejsze słowa
Ani hymny dzikie, ani szalone gonitwy.
Cokolwiek będzie — przyjdą znowu
Stare codzienne modlitwy.

Wolam, wolam, dlonie w rozpaczę łamię,
Boże, wysłuchaj! Błyszni w niebie mieczem!
A on — tam, na ulicy, czeka na mnie:
Mój znajomy, szary, prosty człowieczek.

1925

Dziesięciolecie

Było wam, panowie, witrażono i seledynowo.
Było „jakoś dziwnie” w „osmętach” i „tęsknicach”.
Jak pięścią między oczy uderzyło Słowo
I poszli starzy zrędzić po kawiarniach i ulicach.

Cale lata się w Polsce głądziło o duszy,
Piszcząc hymn do Księżycy na poetyckich okarynach.
Aż się w sercu czerwonym żywy śpiew rozjuszył
I huknął, i przepędził durniów w pelerynach.



W Paryżu, nad absyntem, marzył się Królewicz
Długowłosym próżniakom, warszawskim Verlaine'om,
A jak słońce nad światem stał nad Polską Mickiewicz,
W teleskop nań patrzyły Kallenbachy jeno.

Rolly się wam sennie faramuszką w dali,
Miriady i miriamy, chramy i rapsody,
My — z Ody do Młodości, wiecznie młodej Ody,
Porwaliśmy się w życie, jak z porywem fali.

Jeszcze by dziś ze słówek pitrasili swojskie
Malowanki, kilimki i frebrowskie wzroki.
Kwiat „wiązaną mową”, że to „takie polskie”,
I kwitłyby rodzime poetyckie Tworki.

Trzaskiem strof pękających walić w tych matolów
I gradem strzał skrzydlatych prażyć w ich kilimy!
A na strzałach osadzać świszczące wesoło
Ostrza słów rozpalonych, palające rymy!

Tak się przyszłość buduje — muskularną mową.
Tak się życie pcha naprzód — śpiewną roboczną.
Młodości, daj nam skrzydła! Boże, ześlij słowo!
W pęd sławy, w dzieje swoje, porwij nas, ojczyznio!

1928

Rzecz Czarnoleska — przyplywa, otacza,
Nawiedzzonego niepokoi dziwem.
Słowo się zwolna w brzmieniu przelastacza,
Staje się tem prawdziwem.

Z chaosu ład się tworzy. Ład, konieczność,
Jedność chwili, gdy bezmiar tworzywa
Sam się układa w swoją ostateczność
I woła, jak się nazywa.

Głuchy nierozum, ciemny sens człowieczy
Oстрыm promieniem na wskroś przeświełniony,
Oddechem wielkiej Czarnoleskiej Rzeczy
Zbudzony i wyzwolony.

1929

Do losu

Miłość mi dałeś, młodość górna,
Dar ładu i wysokie żądze.
I jeszcze, na uciechę durniom,
Raczyłeś dać mi i pieniądze.

Plonąca kroplą oblakania
W móżg szary mój wsączyles tęczę.
Miraże wstają śród mieszkania,
Palcami w stół na lutni dzwিয়ে.

I gdy poniosło, to już niesie,
Roztrącam dni i rwę na części,
I w zgielku wieku i w rwetesie
Ubrdało mi się jakieś szczęście:

Rytmowi przebieg chwil powierzać,
Apollinowym drząc rozmysłem,
Surowo składać i odmierać
Wysokim kunsztem słowa ścisłe.

I kiedy kształt żywego ciała
W nieład rozpadnie się plugawy,
Ta strofa zwarta, rwięzła, cała,
Nieporuszona będzie stała
W zimnym, okrutnym blasku sławy.

Smutku! Uśmiechu! Melancholio!
W bęben żalobny bije gloria...
I smutnie brzmi: „Dum Capitolum...”
I śmieszne jest: „Non omnis moriar”.

1932

Zadymka

Senność gęsta jak śnieg i krząca jak śnieg
Zasypuje śnieżnemi płatkami sennemi
Bezprzyczynny mój dzień, bezsensowny mój wiek
I te ślady beładnych moich kroków po ziemi.

Jeśli chcę, mogę spać; jeśli chcę, mogę wstać,
Śiąść przy oknie z gazetą z zeszłego tygodnia
Albo iść w senność dnia — wtedy inny, nie ja,
Siedząc w oknie, zobaczę dalekiego przechodnia.

Czy to dobrze, czy źle: tak usypiać we mgłę?
Szepać wieści poświeżne, podzwonne, późnionie?
Czy to dobrze, czy źle: snuć się cieniem na tle
Kołujących śnieżycy i epoki przyćmionej?

Śnieg pierzyna mi legł, wiek godziną mi zbiegł
W białej drzemce, w puszystym, przyprószonym spacerze,
Bezprzyczynny mój dzień, bezsensowny mój wiek
Składam wierszom powolnym w ofierze.

1936



To było tak: w ciemności nocy
Z gałązki wylaził żywy pączek.
Rozklejał się, ptakami kwitnąc;
O świecie — westchnął. To początek.

Godzinę blisko się dokwicał,
Leniwie drzemając w ciepłej wiosnie.
Ciągnęły go z lepkiego gniazda
Kwieciste ptaki coraz głośnie.

Godzinę blisko się upierał,
Barw upatrując po ogrodzie.
Wyciągał go z zawięzi miękkiej
Skrzydlaty wietrzyk coraz słodziej.

O, patrz, jak biją się o ciebie,
Złączone w jeden zgilek pstrokaty:
Ptaki świergotem coraz tliwym,
Coraz żarliwszą wonią kwiaty!

Bezmiennego cię rozdwaia
W dwa cudy jedna twórcza siła,
I drży pod tobą niespokojna
Gałązka, która cię powiła.



Rys. Henryk Tomaszewski

Więc kto? więc jak? Zawiało chłodem.
Czy ptak? czy kwiat? I gwar zamiera,
I rozpaczliwy strach istnienia
W struchlałym sercu świata wzbiera,

Wtedy zerwałem go z gałęzi,
Jak pierworodny owoc z drzewa:
I bardzo słodką wonią dyszy,
I bardzo smutne wiersze śpiewa.

Piosenka umarłego

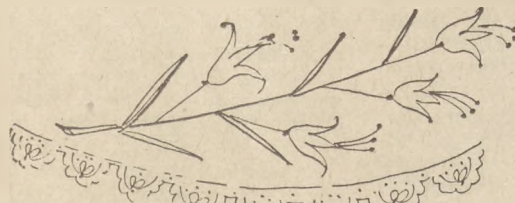
Dusza z ciała wyleciała,
Na zielonej łące stała.
Ja pobiegłem, patrzę na nią:
Nie wiedziałem, żeś ty anioł.

A tyś anioł jak z obrazka,
Nad twą głową wieńcem łaską,
Szkłane oczy, lniane włosy,
Suplikacje wniebogłosy.

Powróć ze mną do miasteczka,
Pobekuj jak kwiecieńka,
Podaj rączkę, białorunna,
Niech nie mówią, żeś ja umarł.

U trumnarza na wystawie
W srebrnym gaju cię postawię,
Na drewnianej, twardej łące,
Z papierową liliją w rączce.

Staną gapie za szybam,
A ty ruszaj skrzydłkami,
A ty stukaj sztywną nóżką,
Zatrącona moja duszko!



Sztandar

Prawda, prawda, czarnoleski Janie:
„Serce rośnie patrząc na te czasy!”
Tętnem krwi czerwono-chorągwaną
Zaszumiały nasze miasta, jak lasy.

Jakaż miała się odezwać Muza
Procz tej jednej — bojowej, piosennej?
Jakiż kwiat mógł wybuchnąć na gruzach,
Jeśli nie ten pnąc czerwoniopieny?

I dlatego ze stolicą rosnę
I po piętach jej wspinać się kwieciem.
A ojczyznę moją wielką wiosną
Jako sztandar wznoszę nad stuleciem.
Taki sztandar, że ziemię okryje,
Taki sztandar, że w wieki ponosi,
I gdziekolwiek jego drzewce wbię,
Tam początek będzie ziemskiej osi.

1949

Archanioł

Jakiż to uroczy facet!
Kulturalny, religijny,
Absolutnie apolityczny
I zupełnie bezpartyjny.

Jakie wzniosłe ideały
Głosi szeptem, na uboczu!
Jaki czysty, święty płomień
Bije z tych szlachetnych oczu!

Jakiż on ma program piękny,
Słuszny i prostoliniowy:
Absolutnie apolityczny
I rozkosznie bezpartyjny!

Ma być tak: Cywilizacja,
Demokracja, Wolność Słowa,
Duch Zwycięstwa, Rząd Wszelchłudzki
Tudzież Zgoda Wszelklasowa.

Serce rośnie, kiedy słucham
Jego tyrad melodyjnych,
Absolutnie apolitycznych
I uroczu bezpartyjnych.

Ma być również Sprawiedliwość,
Czysta Sztuka, Pokój Wieczny,
Miłość, Błogość, Szczęście — słowem
Świat wspinał się bajecznie.

Taki program zachwyt budził!
Toż to istny raj biblijny:
Absolutnie apolityczny
I cudownie bezpartyjny.

— Wieszczu, mówię, bóstwo moje!
Wszystko pięknie i przeświećnie,
Ale jak to niby zrobić
I wprowadzić w czyn konkretnie?

Wszyscy pójdą za twym głosem,
Każdy cię jak zbawcę przyjmie —
Absolutnie. Apolitycznie!
Z entuzjazmem! Bezpartyjnie!

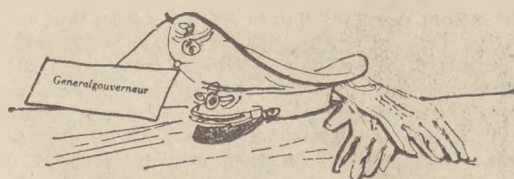
Ale powiedz mi, wieszczunlu,
Archaniele i proroku,
Kto załatwi te drobnostki:
Szczęście, zgodę, wolność, pokój?

Wieszcz zadumał się głęboko,
Potem westchnął elijynie
(Absolutnie apolitycznie

I przedziwnie bezpartyjnie) —
I natychmiast najkonkretniej
Onowiedział o swym planie:
Zaczął od Sanctissimusa,
Skończył zaś na Guderianie.

Tak wylazła z Archanioła
Stara świnia reakcyjna:
Absolutnie apolityczna
I zupełnie bezpartyjna.

1949



Z „Kwiatów polskich”

— Mój demokrato, któryś z wtorku
Na środek tak się zmył do czysta,
Ze, myślę, z Rio do New Yorku
Pojedziesz, jako... komunista.
Mój anglofilu i zelencie
Wolności, tolerancji, prawa,
Co ze mną jesteś dziś w aliansie,
Za dobrze, mój figlarzu, znam cię...
Kawa na ława!
Gdy zwiądł rozmaryn, kwiat prześlęczny
Polskiej paproci romantycznej
(Pamiętasz? „O, mój rozmarynie...“
I pierwsza iza gorąca spłynie,
Że zakwitł... jest... więc ty do kwiecia:
„Rozwijaj się” — i druga, trzecia,
A ty przynaglasz, szerzej, głośnie,
I plynie: „O, mój rozmarynie,
Rozwijaj się!” — I tak miłośnie,
Tak rzewnie kwiat na oczach rośnie,
I coraz więcej lez i wiosny
Na rozmarynie, na miłosnym,
I ciągniesz: „Pójdę do dziewczyny” —
I śpiewasz: „Pójdę do jedynej,
Zapytam się...” —

Zapytaj się:
O podeptane butem kwiecie,
Choćby o jedno pięciolecie —
Kiedy się Wilk Żelazny rozpadł
Na setki piesków skocz-hitlerków,
Kiedy jak trąd, jak czarna ospa,
Pokryła Polskę dziec burszowska
Szturmowców, stürmerowskich clerków;
Gdy generalskie Kaffeepflanzen
Złapały faszystowską francę
I matkowały bogom nowym:
Pierwszej Kohorcie czy Falandze
Ostatnich mętów i szumowin;
Kiedy ministrom wystraszonym
Na murach pisał epitafium
Wódz, miłkos, gówniarz „przeświełniony”,
Z mistyczną misją wprost z Monachium;
Gdy panowali na ulicy
Drobnomieszczansey drobni dranie,
Już znakomici „katolicy”,
Tylko że jeszcze nie chrześcijanie;
Gdy się szczycili krzepą pustą,
A we łbie grochem i kapustą,
Gdy bili Żydów z tej tężyny,
Tak bili, rozjuszeni chwaci,
Że większy wstyd był za ojczyznę
Niż litość dla mych bitych braci.

Gdy cham i nieuk, jeden z drugim,
Śpił, łapał, a „wielki” czy z „zadragi”,
Znieważał „Żyda” Mickiewicza
I — nie bał się Jaroszewicza,
W pięcie miał rząd, opinie, prasę,
Bo szefa miał — na Wilhelmstrasse;
Gdy Wielki Łowczy w Polsce gościł
I wielkopańskie pił szampany,
Gdy zapijały się z radości
Ozońskie błazny i balwany,
Ze podejmują Ribbentropa
(A wyrok był już podpisany,
Na śmierć skazana Europa);
Gdy wielki grzmiał w obozie jubel,
Że Józek z Hessem był na wódce,
Że Ciano w tany porwał Dziubę,
Że Bolek z Eddą tnie hołubce —
O, danse macabre! Gdy wbiłali
Tym tańcem gwoździe w naszą trumnę;
Kiedy berlińskich biesów szajka
Ze śmiechu się tarzala patrząc,
Jak się przyjaźnią z nimi papraza,
Jak Polskę toczy rak marszałka;
Gdy było „byczo” i rząd „amcil”,
Smigły „podciągał” gosudarstwo,
A olrajtnicy, adiutanci
Stukali obcasami dziarsko;
Gdy się u stóp głuptasa wili
Ten w „szerszym hołdzie”, ów na żołdzie,
Gdy honor dziejów plugawili
Nikczemnym marszem na Zaolzie;

Gdy arsenatów nie doglądał
Bulawy legendarnej dziedzic,
A dla mnie szubienicy żądał
Poeta polski Pjerd-Pietrkiewicz;
Kiedy za rządów tych ozońców
Kto żył, ten błotem mnie smarował;
Bandyty z rozwrzeszczanych „Gońców”,
Klełci z Niepokalanowa,
„Myśl (do złudzenia) Narodowa”),

Kiedy im, głupim, rosła dusza,
Że będzie getto (jest już getto),
Że będą mogli bić po mordzie
„Konstytucyjnie”; gdy in petto
Marzyli o germańskiej hordzie,
Wiernie oddani duszą całą
Tym samym w końcu idealom,
Bliźniaczym draństwom i ohydzie;
Kiedy w żurnalli robaczywej
Nie, tylko wrzało i migalo;
Zyd, Żyda, Żydom, Żydów, Żydzie;
Gdy zaprawiony w drobnym kancie
Był kto w tydki mi się wygryzał —
— Gdzie w t e d y byłeś, mój alianie?
Gdzie pies ci w t e d y mordę lizał?
„A sio!”, jak mówią. „A ze szkody!”

1944

